

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 10 STYCZNIA 1931 ROKU

NR. 2

TREŚĆ NUMERU: O potrzebie zrzeszeń — *Zofja Dzieciotowska-Brykalska*. Kasie, Paraski i Ruchle — *J. Putiatycz-Surynowa*. Muy interessante (y curioso) (opowieść hiszpańska) — dok. — *A. — J. Kowalscy*. Płacząca Syrena — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Miasto „Jego” matki — *Wiktorja Rymwid-Mickiewiczowa*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Dwudziestopięciolecie „Świata” — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Warszawa pod śniegiem. Nasza Mównica. O wychowaniu estetycznym — *Marja Werten*. Karnawałowe szmatki — *Angelo*. Jak umebłować łazienkę — *W. B.* Kilka słów o kozach — *Marzenna Saryusz-Stokomska*. Premje dla Czytelniczek „Bluszczu”. Grzyby suszone — *Pani Elżbieta*. Ostatnie wynalazki. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: Modne kapelusze i sposoby ich noszenia — *Well*.

O POTRZEBIE ZRZESZEŃ

Życie społeczne i gospodarcze przybrało, prawdopodobnie na skutek przeludnienia, takie formy, że życie jednostek nie jest do pomyślenia, jako coś samodzielnego, niezależnego. Społeczność narzuciła pęta i granice swobodzie poczynań jednostek i jeżeli jednostka umie dziś i może poruszać się swobodnie, to dlatego, że zmiany nastąpiły drogą ewolucji, z pokolenia na pokolenie.

Jednym z przejawów tej, że tak powiem impotencji działania jednostki, jest pęd do zrzeszenia się, do organizacji, do kooperacji. Próżnym byłoby dyskutowanie, czy jest to przejawem dobrym, czy złym, dodatnim, czy ujemnym, wystarczy stwierdzić, że w danym czasie jest koniecznym. Kwestję zachowania indywidualizmu pozostawiam na uboczu, twierdząc tylko mimochodem, że indywidualizm i bogactwo myśli i czynów jednostki jest kwestją, dającą się pogodzić w zupełności z ideą kooperacji.

Otóż dążenie do zrzeszeń jest dziś tak silne, że aż w głowie się mąci od nazw partyj, związków zawodowych, stowarzyszeń oświatowych i t. p. A ciągle jeszcze powstają nowe, wyczuwa się ciągle zapotrzebowania na nowe zgrupowania.

I nic dziwnego; szczególnie, gdy chodzi o związki zawodowe, każdy zawód ma swoje potrzeby, ideały, swój teren pracy, swoje warunki pracy, każdy ma swoich emerytów, swoje wdowy i sieroty, swoje konieczności życiowe. A tych zawodów jest coraz więcej, wobec zróżniczkowania i specjalizacji w przemyśle lub w zawodach t. zw. wolnych. Czasem też wyrasta nagle nowy zupełnie, a stary, jak świąt, zawód, jak np. gospodarstwo domowe, no i wślad za

nim nagle potrzeba związku zawodowego pań domu.

W ruchu zrzeszenia się wybitną rolę odgrywa kobieta, bo nie ma za sobą tradycyjnie przekazanych stowarzyszeń, musi tworzyć nowe, rozumiejąc potrzebę i doniosłość ich tak dla jednostki, jak społeczeństwa. Rozumieć jednak potrzebę to nie znaczy umieć organizować, stąd wiele nieudolnych poczynań, wegetujących związków i związków „św. pamięci”.

Gdy staram się wnikać w przyczyny tak małych efektów pracy różnych organizacji kobiecych — bo o tych głównie chcę mówić — dochodzę do wniosku, że zasadniczo kobieta wnosi tylko chęć pracy (czasem tylko ambicję), intuicyjne wyczucie konieczności organizowania się i duży zasób inteligencji wrodzonej. Jest to dużo, są to walory, których wartość jest niezem niezastąpiona, bo nie do nabycia; te walory albo są, albo ich niema, kupić ich nie można, są one właściwe pewnym jednostkom t. zw. uspołecznionym. Lecz o ile posiadamy wszystkie cudowne walory wrodzone, o tyle nie staramy się absolutnie o walory nabyte, które zdobywa się pracą nad sobą i pogłębianiem *umiejętności*.

Aby zyskać *umiejętność* życia i pracy społecznej, trzeba się *uczyć*, trzeba dużo pracować nad samouświadczeniem.

Zło kobiecych stowarzyszeń tkwi w następujących przyczynach: 1) nieumiejętność wyzyskania talentów jednostki: np. prezeską zostaje osoba, która ma duże kwalifikacje na prelegentkę, czy skarbniczkę, a nie ma kwalifikacyj na sprężystą administratorkę stowarzyszenia; 2) nieumiejętność pociągnięcia do pracy twórczej całej masy członkiń, pociągająca

za sobą zwykle nieureczywistnianą funkcję kaptowania nowych członkiń, i zaniedbanie tej prawdy, że tylko członek czynny kocha swe stowarzyszenie i tylko taki, już bez namowy, stara się o nowych członków i wyszukuje jednostki z pośród bliskich sobie, umiając je rozentuzjasmować dla ideałów stowarzyszenia; 3) nieumiejętność prowadzenia obrad i realizowania postanowień. O tych ostatnich punktach chcę dać parę słów wyjaśnienia.

Realizacja postanowień statutu lub uchwał aktualnych musi mieć za podstawę zasadę: „right man of the right place“, czyli zarząd powinien do każdej sprawy pociągać odpowiednich ludzi, którzy ją najlepiej wykonają. Metoda centralizacji wszelkich działań w jednych rękach jest przyczyną upadku lub smutnej wegetacji stowarzyszeń. Kobieta, jako urodzona pani domu, skupia całość gospodarstwa domowego w swojej dłoni, czyni to samo na terenie społeczności. Jest to wrodzony (szlachetny) despotyzm. Ale tak samo, jak dziś woła się wielkim głosem o decentralizację pracy w gospodarstwie, tak samo przestrzec należy kobiety, biorące udział w życiu różnych zrzeszeń, że jednostce nie wolno skupiać wszystkiego w swoich rękach, bez szkody dla stowarzyszenia. Jedną głową jest potrzebna (prezes — zarząd), ale rąk trzeba wiele, bardzo wiele.

Nieumiejętność prowadzenia obrad jest prze-

kleństwem tylu stowarzyszeń (wcale nie tylko kobiecych, ale o nich mam mówić specjalnie)! Obrady są przecież *pracą*, twórczą pracą. Aby nią były jednak, muszą spełniać pewne warunki: przewodnicząca musi być osoba energiczna, orjentująca się świetnie w statucie, będąca au courant ideałów stowarzyszenia, odważna, aby w razie potrzeby zdobyć się na odebranie głosu i inne ostrzejsze wystąpienia, przytem... bezgranicznie taktowna. Tylko taka przewodnicząca gwarantuje dobrą formę i twórczą treść obrad. Auditorjum wówczas zachowa potrzebny spokój, powagę i zrozumienie, że zebranie nie jest fife'm, a wysiłkiem i pracą.

Organizację i sprężyste prowadzenie obrad Zjazdu Pań Domu należy zaliczyć do fenomenów, dowodzących, że jednak można z obrad stworzyć teren rzetelnej pracy.

Bez stowarzyszeń życie społeczne jest nie do pomyslenia. Ale życie społeczne, oparte na stowarzyszeniach, że tak powiem „niemrawych“, jest parodią. Należy silnie propagować element twórczy wszelkich zrzeszeń i ich odpowiedzialność dla życia społecznego w najszerszym zakresie, wprost dla kultury i dobrobytu całego narodu, dla... historii.

W następnych artykułach zajmę się praktycznymi wskazówkami, dotyczącymi: 1) zakładania stowarzyszeń, 2) statutu, 3) techniki obrad.

Zofja Dzieciolowska-Brykalska.



KASIE, PARASKI I RUCHLE

Wyprawa po Złote Runo. — Kasie i Marysie, jako żywy towar. — Paraski i Ruchle. — „Letki chleb“. — Działalność „Opieki Polskiej“ w Paryżu, „Patronatu Polskiego“ w Buenos Aires i „Stowarzyszeń kobiecych“ w Warszawie. — Projekt popularnego rodyarnictwa.

Śnią się po nocach naszym miejskim i wiejskim Kasiom i Marysiom — wyprawy po „Złote Runo“ i pełne zapaski zdobytych za morzami dolarów. — „Przydałoby się tę zieloną skrzynię (stojącą w świetlicy, pod obrazami) wypełnić po same brzegi szeleszczącymi, francuskimi frankami, abo i w zbożu, w komorze schować dużo krągłych, złotych, argentyńskich „pesos“!...

„Niejednemu się przeciek — udało. Listy pise z markami cudacznymi, pieniądź psesyła i chwali sobie tamte kraje...“

Więc?

Więc i nasza Kasia i Marysia chce pojechać, a zarobić na to dostatnie wiano, na własną zagrodę, na własnego chłopca i na dzieciska.

Jakże daleko odbiegają marzenia od rzeczywistości!...

W tym tam „Paryżu“ dworzec ci mają olbrzymi, caluśki pod szklanym dachem. Stuk ci tam i hałas, jak w jakiej fabryce, a ludzie gadają, że nijak ich wyrozumieć nie poredzi...

Tam, na tym dworcu „Gare du Nord“ zaczyna się pierwszy akt dramatu. Jakieś dwie „aliganckie panusie, gadające po polsku, obiecują pracę; jakiś lotrzyk, przebrany za księdza w sutannie — opiekę i wspomóżenie.

Marysie i Kasie rzucają się radośnie do całowania rąk... a rzekomy ksiądz składa na ich czołach... judaszowy pocałunek.

Drugi akt — to mała, narożna „Café“, lub podejrzany hotelik. Tam się omawia interes, wyludza pieniądze, odbiera kwity bagażowe i „ogałaca z wszelakiego dobra“.

Ostatni akt — dom publiczny gdzieś na prowincji.

I przed kim się tam nasza Kasia użali?

Przed kim uskarży „biedna sierota“, nieznająca francuskiej mowy?

Smutne, ale prawdziwe. We Francji polskie dziewczęta najczęściej wpadają w ręce polskich handlarzy żywym towarem. Im to „idzie“ najłatwiej. Znają język i znają psychologję naszej dziewczyny. Nie-

stety! przyznać należy, że nasza współczesna Kasia odbiega daleko od bohaterki Sewera i Korzeniowskiego. Nasza Kasia jest głupia tak, jak nią była jej babka z przed laty 50-ciu, ale jest więcej od swej babki leniwa, „lecząca na letki chleb“ i nieraz pozbawiona wszelkich zasad religijnych, a co za tem idzie (w tej klasie) i moralnych.

Ten „letki chleb“ kusi.

Moja znajoma (w Sieradzkim) straciła świętą pokojową, bo ta „wołała iść do Łodzi na... bezrobotną“ (płaca, a nie się nie robi).

W warszawskiej „Ochronie Kobiet“ opowiadano mi, że prostytutki uciekają często ze szwalni i domów poprawczych, bo je dawny „łatwy chleb“ kusi.

A w Paryżu?

Jako „femme de ménage“ trza ciężko pracować, bo „francuzi, kiej żydy, z człowieka wszystko wyduszą“ i języka uczyć się nie poredzi łatwo... Więc... nasza Marysia i Kasia przestaje już myśleć o własnej zagrodzie, o chłopie i dzieckach, a zato — dostaje jedwabne pończochy! Czerwoną suknię!! Ma coraz innego „ami“!!! Nazywają ją „une belle poule“!!! I fryzują jej włosy „à la toutou“ (piesek).

*

Do Argentyny emigrują głównie nasze „Kresy Wschodnie“. (Rok 1929 — 21.116 osób).

Znajoma „konwojentka“ opowiada mi o nędzy bezgranicznej tych zastępów ludzkich, które tu w kraju, wyzbywszy się lekkomyślnie ziemi i warsztatu pracy, jadą tam na... nieznanie!

Rusińskie Paraski i żydowskie Ruchle, płynące na okrętach, nie znają najprymitywniejszych zasad higieny. Przez cztery tygodnie (okres podróży) nie mogą się one nauczyć mycia rąk (paznogie!), prania bielizny w pralniach okrętowych i brania natrysków (w specjalnie urządzonych łaźniach). Rezultat — robactwo, choroby (malarja i ankylozofomoza) i... fatalne świadectwo, jakie wydają o kraju, z którego jadą.

Przytem ten tłum emigrantów pozbawiony jest wszelkiego poczucia... moralności. I nasze Paraski i Ruchle, nim się dostaną do wymarzonego kraju dolara, niszczejają od chorób i moralnego zepsucia.

Tyle — o podróży.

Na miejscu w Kordobie, w Rosario, w Montevideo — czekają one nieraz tygodniami w hotelikach emigracyjnych... na zajęcie. „El tiempo“ (czas) mija. „Pesos“ (moneta) rozchodzi się prędko, bo wszystko jest „caro“ (drogo). Przytem Paraska i Ruchla nie mówią po hiszpańsku.

W dziennikach codziennie zjawia się po kilkaset ogłoszeń w poszukiwaniu „służących do wszystkiego“.

Dobrzy ludzie pośredniczą.

Paraska biegnie pod wskazany adres i... wpada w sidła. Te „korzystne“ i „lepiej płatne“ zajęcia — to domy publiczne.

Ruchle oblegane są przez swoich „żydków“ — ci znają proceder na wskroś; wiadomo: handlowy naród, im „interesy“ najwięcej się udają.

Naszemi Kasiami, Paraskami i Ruchlami narzeszcie się zaopiekowano. „Urzędy Emigracyjne“ w kraju ostrzegają samotne dziewczyny i młode kobiety przed wyjazdem, oraz przy każdym poszczególnym zgłoszeniu badają powód zamierzonego wyjazdu. Pozatem polskie instytucje kobiece, jak: „Ochrona kobiet“, „Stowarzyszenie pracy obywatelskiej kobiet“, „Stowarzyszenie Młodych Polek“ i „Stowarzyszenie opieki nad rodakami na obczyźnie“ — rozciągają czujną opiekę nad samotnie podróżującymi kobietami.

We Francji „Opieka Polska“ utworzyła w tym celu specjalne „misje dworcowe“, znajdujące poparcie w obsłudze stacyjnej, w „opiece francuskiej“ i w policji, której silna interwencja jest nieraz konieczna. Pozatem „Opieka Polska“ w Paryżu wynajduje pracę dla naszych Kas i Maryś (robotnice, służba domowa, roboty w polu), opiekuje się uwiedzionymi matkami i ich dziećmi. (Patrz artykuły na ten temat w „Bluszczu“ p. t. „Te, które opuszczone“ i „Swatki paryskie“). Tę samą społeczną działalność rozacza również klasztor św. Kazimierza w Paryżu, w którym Siostry-polki pośredniczą w wynajdywaniu pracy.

W Ameryce opiekują się emigrantami „Patronaty Polskie“ w Cordobie, Rosario i Montevideo „Argentynska Dyrekcja Emigracji“, oraz konsulaty. Żydowskie patronaty toczą również energiczną walkę z „nierządem“ i „handlem kobietami“.

Z tą pracą opiekuńczą intensywnie współdziałają: „Dom Polski“ (rodzaj ogniska), pisma: „Głos Polski“ i „Emigrant w Argentynie“ i... Kościół.

Ale... Ale dla tych, którzy pism nie czytują i do kościoła nie chodzą, jedna jest tylko droga: droga upadku...

Dla tych... przydałaby się książeczka popularna, 25-cio groszowa, z kolorową okładką (koniecznie!), napisana barwnie, nawet z pewną domieszką sensacji, i przedstawiająca historję naszej Kasi i... jej zawiedzionych nadziei.

Pamiętajmy o tem, że nasze Kasie, Paraski i Ruchle nie czytują: ostrzegawczych artykułów w gazetach, biuletynów Urzędu Emigracyjnego, a tembardziej sprawozdań z wyniku „Kongresu“. Pamiętajmy, że od uświadomienia tych mas zależy dużo, jeżeli nie wszystko, i że jednak trzeba znaleźć do ich umysłów drogę — w ten, czy inny sposób. Taka książeczka, nie mająca nic wspólnego z pięknem i literaturą, ani z kaznodziejstwem (uchowaj Boże!), byłaby kompromisem — to prawda, ale kompromisem... skutecznym.

Pamiętajmy jeszcze o jednym — o tem, że... surowo, czarno ubrane (w białych kołnierzykach) panie na stacjach kolejowych nieraz... odstraszą głupią i lekkomyślną dziewczynę, podczas kiedy uśmiechnięta, barwna okładka książki... przyciąga, a zajmująca treść trafia do ciemnych umysłów i zatwardziałych serc.

I pamiętajmy, że „Chata Wujka Toma“ bardzo dużo pomogła władzom policyjnym w tropieniu handlarzy „hebanu“.

J. Putiatycz-Surynowa.



MUY INTERESSANTE (Y CURIOSO)

2)

(opowieść hiszpańska)

— O, on wszędzie myszkuje, żeby galerję jako-
bądź powiększyć i nowy katalog wydać. Na tem za-
rabia. Fachowemu można powiedzieć. Innym nie mó-
wię. A to, że banalne, nie odemnie pochodzi, ale od sa-
mego dyrektora. To głupi człowiek.

— W każdym razie, szczęśliwy.

— Zapewne! Sześćset peset miesięcznie bierze!

Zupitos patrzył dalej w blask świecy niedostrze-
galnej. Don Pepo spostrzegł się, że dla malarza cała
galerja obrazów zawarła się w tej jednej rzeczy, któ-
rej Don Pepo nie widział. Ale kto wstęp zapłacił,
może oglądać, co mu się podoba. Może nawet niczego
nie oglądać. Don Pepo siedział sam godzinami w ga-
lerji, na nic nie patrząc.

Przyniósł malarzowi krzeselko i wrócił pod
drzwi, by nasłuchiwać, czy nie nadejdzie ktoś w po-
rządniejszych trzewikach. Po godzinie pierwszej
mało nadziei zostawało. Ludzie jedli obiad o tej po-
rze. Zwykle też Don Pepo schodził do suterenu na
obiad, ukradkiem, bo regulamin nakazywał wytrwać
do czwartej na miejscu i dopiero po zamknięciu ga-
lerji zwalniał od zajęć muzealnych. Odzwierny ja-
dał w małej izdebce koło kołowrotka; wówczas Don
Pepo przemykał się tyłem sieni na dziedziniec i stamtąd
dostawał się przez kuchnię do swego mieszkania. Dy-
rektor opuszczał biuro już w południe, ale odzwier-
ny byłby mu i tak doniósł.

Don Pepo dumiał przez krótką chwilę: czy po-
prostu wyprosić Zupitosa, czy też, nie zwracając jego
uwagi, wyjść na palcach. Gdyby powiedzieć mu, że
dzisiaj wyjątkowo muzeum zamyka się o pierwszej?
Ale rozważał: najpierw to malarz, może z kimś się
widzieć, dowiedzieć, zapytać, dlaczego. Może i sa-
mego dyrektora odwiedzi? (Niepotrzebnie rzekło się
o dyrektorze, że głupi człowiek. Nie powtórzy doni
Teresicie). Powtóre, przyjechał zdaleka, juźci tylko
dla tego obrazu, swójego: zgaduje, co namalował; chy-
ba nieprędko odgadnie. Będzie siedział, a Don Pepo
tymczasem wróci pokrzepiony. Może Zupitos tu zo-
stanie na zawsze, zapatrzony, jak tych dwoje, w nic.
Człowiek, co się wpatruje w nic, nie dostrzega, co
jest, a czego niema. Sam jest jakgdyby niczem: niby
siedzi, ale go niema. Gdyby tu leżał nieprzytomny,
kto powiedziałby, że on zwiedza galerję? A on jest
równie nieprzytomny, chociaż siedzi. Niewielka róż-
nica, dość, że go niema.

Don Pepo zżuł pośpiesznie gorzkawe płaty owo-
cu papryki, ćwiartkę parzonej baraniny zakropił
ćwiartką różowego melona i wrócił do galerji. Oczeki-
wanie go nie zawiodło, bo Zupitosa nie było, wpraw-
dzie nie, jak przedtem, ale tym razem całkiem do-
słownie: nie było, ani w postawie siedzącej, ani le-
żącej.

Don Pepo z przyjemnością odniósł krzeselko
na środek sali i sam usiadł na niem, w nadziei, że
Zupitos wysiedział wkońcu swoją zagadkę, i teraz
wystarczy odegrać siedzenie, ażeby... Słusznie, cza-
sem katedra robi filozofa, i chociaż człowiek miejsce...
a nie miejsce człowieka..., ale to są przysłowia, i może
tak być, a może być i inaczej.

Spojrzał w stronę obrazu, ale nie zaraz posiadł
dar jasnowidzenia. Nic, ciągle nic, wprawdzie nie,
jak przedtem, ale tym razem całkiem dosłownie:
obrazu nie było. Rama została, to dobrze. Płótno: nic
wielkiego. Z ukontetowaniem spozierał w środek
ramy: kwiatki na czerwonym adamaszku obicia

ściennego: drogocennym, bo galerja mieściła się
w dawnym pałacu.

Okolo czwartej wszedł ze szczotkami Miguel.
Na widok Don Pepa, zapatrzonemu w pustą ramę, pod-
szedł i, że mu zależało na starym, żeby nie stracił po-
sady (wstyd byłoby wziąć za żonę córkę wypędzonego
gui i możeby nawet dyrektor źle widział), zaczął mu
tłumaczyć, że zaszła kradzież i należy najszybciej
puścić się w pogoń za złodziejem.

Don Pepo zrazu się opierał. Obraz należał do
malarza, nie podobał się dyrektorowi; niewiedomo na-
wet, czy przez kupno dostał się do galerji.

Miguel miał już tylko nadzieję w doni Teresi-
cie. Zbiegnie na dół, babinie oczy otworzy, co ich cze-
ka, jeżeli obraz się nie znajdzie. Zaklął i zbiegł po
schodach.

Guia czekał z otuchą. Tymczasem minęła godzi-
na, a Miguel nie wracał. Słyszał, jak odzwierny za-
trzasnął drzwi wchodowe. Sam Don Pepo zamykał
sien od tyłu. Odstawił szczotki Miguela do kąta i scho-
dził powoli. Kręcił klucz we drzwiach i myślał, gdzie-
by Miguel się podziewał.

Jakieś krzyki doleciały go w tej chwili od
mieszkania, i gdyby nie myśl niespodziewana, praw-
dziwie wielka i ostrożna, co przyszła do głowy Don
Pepowi, byłby zaszedł do domu, zapytać o powód
krzyku. Ale niewiedzieć jak, ujrzał się, okiem ducha,
nigdy niewiedomo, jak, co i kiedy widzącym, ujrzał
się przed kantorem Gutierrezem, niedalej jak wczoraj,
o tej samej porze. Może ta okoliczność spowodowała
przypomnienie, bez związku z zamykaniem drzwi
i hałasem w mieszkaniu. A Gutierrez pisze (i sylabi-
zuje): Ja-co-mo Ca-ra-ju-an Zu-pi-tos, artysta-ma-
larz, z Rio Janeiro. Mam cię. Własnoręcznie odbierze
malarzowi płótno w hotelu Gutierrezem, wróci i wsta-
wi zpowrotem w ramę, może zanim jeszcze Miguel
wróci sprzątać (bo miał osobny klucz). Zażartuje się
z Miguela, że miłość mu bielmem oczy zasnęła, ma-
giczne sztuki z nim wyprawia: niema obrazu, jest,
aha, ciuciubabka! Trzeba zachować powagę przed
pomocnikiem. Zresztą, czy Karmen od niego ma te
zausznice? Może dyrektor szpieguje Don Pepa przez
pomocnika? Miałby się zpyszna Don Pepo! Przekre-
cił wreszcie klucz i pędem ruszył ku hotelowi Buen
Retiro.

III.

Miguel wślizgnął się pod okienko kuchenki i już
miał zawołać na donię Teresitę, gdy usłyszał głos
Gutierrezem. Nie namyślał się, całym ciałem pchnął
ramę okienka i wskoczył do kuchenki. Karmen sie-
działa sobie na kolanach hotelarza.

Miguelowi zabrakło odwagi rzucić się na Gu-
tierrezem, barczystego mężczyznę w sile czterdziestki.
Wzięli go do szczotek w galerji, bo sobie ramię na-
derwał przy wynoszeniu bloków marmuru z wyko-
palisk w Italice. Ale i tak głowy nie stracił.

— Poczekaj, ojca zawołam! — rzucił dziewczyn-
nie i zabierał się do odwrotu.

— Zawołaj, niech jej odbierze zausznice! —
żegnał go Gutierrez. Karmen uciekła do drugiej
izdebki. Dla zachowania pozorów, Teresita na dwie
godziny narobiła piekła: nie przez zazdrość.

Miguel przypomniał sobie spojrzenie Don Pepa,
wążące złote wisiorki w uszach Karmen, kiedy wczo-
raj nachylała się ku niemu, Miguelowi. Poprzez ra-

miona dziewczyny uchwycił to spojrzenie, rozważne, ostrożne, myślące.

Gutierrez wydobyl portfel, poślinił wielki palec i z pęku banknotów oddzielił bilet stupešetowy.

— Masz i już ciebie tu niema!

Znał się na młodych posługaczach: we własnym domu gry w Brazylii i we własnym hotelu w Sewilli.

Miguel miał dziecko z małoletnią córką sklepi-
karza, gdzie brał chleb. Ojciec groził, że udaremni ślub z Karmen, jeżeli Miguel nie zaopiekuje się dzie-
kiem. Prawda, gdyby pomyślał, że teraz ślubu nie będzie! Ale tamta zmora ciążyła na nim oddawna, a ta nowa pewnośc jeszcze nie wywierciła sobie chod-
nika w mózgu Miguela.

Porwał bilet z przekleństwem i pognał ku skle-
pikowi. Po drodze zatrzymał się, bo zrozumiał, że je-
żeli z tą nic, to i o tamtej niema co myśleć. Dziwna lo-
gika! Utrata jednej zwalniała go od troski o drugą.
Tak to kobiety szkodzą sobie wzajemnie. Zbeczał się.
Szczęniecie obie! I poszedł pić.

Don Pepo zastał znowu Gutierrezza za kantorem. I tym razem hotelarz zaciągał kartki meldunkowe do książki. Pozdrowili się. Don Pepo wołał się nie wy-
gadać. Spojrzał w książkę i dostrzegł rachunek Zu-
pitosa saldowany: zapłacono. Zupitos wyjechał. Szczęście, w Hiszpanji zapisują, dokąd gośc odje-
chał: do Gibraltaru.

Don Pepo odniechcienia przypomniał sobie, że Zupitosa poznał dziś w Muzeum. Gutierrez kiwnął głową: oczywiście malarz najpierw idzie do Muzeum. A ten zapłacił rachunek.

— A nie zostawił czego przypadkiem? — za-
pytał Don Pepo, pewny, że Zupitos nie zabrał płótna.

Jakoż i tym razem nie zawiódł się. Gutierrez spojrzał uważnie na Don Pepa i zadzwonił na poko-
jową.

— Czy numer piętnasty nie zostawił czego?

— Owszem, flaszkę po maladze.

— Niczego więcej? — nastawał Don Pepo nie-
zlamany.

Pokojowa zniecierpliwiła się.

— Trochę mętów. Choroba nerek. Nie powinien pić wina.

Don Pepo wołał nie słyszeć. Wyciągnął rękę do Gutierrezza.

— Dobranoc. A jakby Miguel starał się u was o służbę, nie przyjąć! — Spodziewał się zwalić przed dyrektorem winę na pomocnika: obraz był na miej-
scu, kiedy guia wychodził po zamknięciu galerji. A dlaczego Miguel czekał dziś wyjątkowo ze sprzą-
taniem, aż Don Pepo opuści salę? Widocznie chciał ukraść płótno! I ukradł!

— Już to dla was zrobię. Chociaż zdawało mi się, że podobał się waszej córce.

— Z nim jednym to mówi? Dziewczyna ostro-
żna, to niejednego sobie wypatruje. Chciałem go podra-
tować, widzicie. Skoro tak, matka ustrzeże.

— Słuszne słowa! Donia Teresita wszystkie swo-
je uczucia na nią przelewa.

— Mówicie? Dawniej o sobie dużo myślała.

— Tak i my za zielonych lat. A potem przeno-
simy na młodych.

— Może i tak. Ale mam ja jeszcze dzisiaj su-
szenie głowy. Dobranoc, Don Hernando!

Don Pepo nigdy tak wcześniej nie wracał do domu. Ale na bilard zająć jakośby mu nieskoro dziś przyszło. Próżna rama obrazu siadła mu, jak jarzmo na karku. W tem jarzmie włókł za sobą ciężką troskę. Wkońcu zabrał się na komisariat dzielnicowy policji

i tam zażądał, aby przeprowadzono rewizję w miesz-
kaniu Miguela Rodrigueza. I dyrektora prosił o kra-
dzieży zawiadomić telefonicznie. Złym trafem dy-
rektor nie był w domu, zajęło godzinę czasu szukać
go telefonem po mieście, w lokalach, gdzie zwykle
przepędzał wieczory. Wreszcie guia połączył się i po
długiej rozmowie, złąjany najokropniej, otrzymał roz-
kaz, aby ruszył z kopyta do budynku muzealnego,
dokąd i dyrektor miał przybyć niezwłocznie.

Don Pepo pożalił się przed komisarzem na cięż-
ką służbę w galerji i ruszył, zrazu nie z kopyta,
z uwagi na swoją ranę, potem coraz śpieszniej, aż
znalazł się na Plaza del Museo.

Ludzie tręcali się łokciami i nikt nie śmiał po-
wiedzieć, co się stało. Rozstępowali się, a on szedł.
Do mieszkania. Ryk doni Teresity prowadził go, przy-
głuszając echa łajań telefonicznych. Szedł, bo musiał.
I już ją zobaczył, Karmen, w trumnie, na podłodze,
ubraną już na prędko pogrzeb sewilski. Był już i le-
karz, i ludzie pogrzebowego rzemiosła. Wszystko po-
śpiesznie, bo gorąco, co rozleniwia żyjących, rozkłada
trupy: ma tę jedyną na południu szybkość, że gna
umarłych do grobu.

A Don Pepa doszukać się nie mogli. Któżby się
domyślił, że był na policji! Komisarz tłumaczył się
później, że wiedział już o zbrodni Miguela, ale nie
miał serca powiedzieć ojcu. Serce przepite jest mi-
łosierne. Człowiek delikatny! Zdrowszy byłby po-
wiedział, a ten bał się, że mu serce pęknie, komisa-
rzowi policji! Jakoż dożył emerytury. A przedtem tak
przeciw Miguelowi zeznał, że chociaż chłopak pijany
był zupełnie, kiedy nożem ugodził dziewczynę w ple-
cy, dostanie dwadzieścia lat więzienia. I drugie ramię
wykręcili mu w śledztwie. Nic to, na galery teraz nie
posyłają, nie będzie wiosłował! Szalony pomocnik!
Lampę stłukł i w ciemności ją trafił śmiertelnie.

Postawili świecę na podłodze, a Don Pepo i donia
Teresita, podtrzymywana ramieniem mężowskim, pa-
trzyli się ostatni raz na córkę. Takie jest niesamowi-
te prawo przypomnienia, że Don Pepo, chociaż to cór-
ka leżała w tyle za świecą, patrzył w światło i wi-
dział obraz, skradziony z Muzeum. Będzie kłopot
służbowy. I to taki obraz banalny: tamtych dwoje,
patrzących w świecę, zresztą niewidzialną.

Nagle Don Pepo zrozumiał obraz. Tak, za tą
świecą... A tymczasem zamykali trumnę.

Don Pepo nauczył się patrzeć na obrazy i ro-
zumieć, co znaczą. Daremno. Dyrektor odprawił go
ze służby. W śledztwie przeciw Miguelowi wydała się
bezpodstawność oszczerstwa, jakie Don Pepo rzucił
na niego. To mu najwięcej zaszkodziło, że tak długo
kłamał przez telefon do dyrektora. Mimo to udało się
odzyskać obraz. Malarza aresztowano w Gibraltarze.
Zeznał, że chciał uwieść obraz dla żony. Po stracie
córki zachowali w oczach ostatni jej wygląd. On
wyzwolił się z opętania czynem twórczym, a jej
popsuły się zmysły. Lekarze w ostatnich latach, kie-
dy to wymyślono nowe sposoby leczenia, zaczęli czy-
nić nadzieję, że gdyby ten obraz... możeby wstrząśnie-
nie, nowe po tylu latach wyładowanie bólu, zatarcie
niewidzialnego obrazu zjawą rzeczywistego, kto wie,
możeby... Więc pojechał, zabrał... Dyrektor przedsta-
wił akt kupna prawnego, obraz odebrano, malarza
miano przed sąd postawić. Długie były przewody są-
dów hiszpańskich z gubernatorem angielskim. Zupi-
tos umarł tymczasem, na nerki, zgodnie z diagnozą
pokojowej z Buen Retiro.

A. — J. Kowalscy.

Sewilla, w październiku 1930.

KONIEC.

PŁACZĄCA SYRENA

(rzecz o Marji Pawlikowskiej).

W morzu płaczą syreny,
bo morze jest gorzkie.

(„Syreny“).

Wyłowileś mnie z mego płaczu,
jak syrenę z gorzkiej zatoki...

(„Gorzka zatoka“).

Poeta instynktownie szuka rozwiązania swoich kompleksów uczuciowych na drodze tworzenia symbolów swej własnej indywidualności, pewnych artystycznych odpowiedników, które niczego życiowo nie rozstrzygają, ale dają gotowy schemat odpowiedzi na psychologiczne zagadki własnego „ja”. Wizja płaczącej syreny bardzo wcześnie wpływa na falach poezji Pawlikowskiej; powtarza się uparcie, jak wszystkie wizje podświadome, aż wreszcie rozkwita świadomym wyznaniem w „Drzewie genealogicznym”.

„Wiem, żeś ojczyzną moją —
o morze przesłiczone!
Jak krew mi własna, szumi
twoja głąb trawiasta.
Moje drzewo genealogiczne,
jak koral, z dna twojego tajemnie wyrasta.

Mój srebrnoluski ogon
rozdzielono cięciem — —
W słońcu ogniem zawrzałam i ginę z pragnienia.
Boli mnie kontakt z ziemią —
najlżejsze stąpięcie —
jak wodnicę-niemowę
w bajce Andersena...

Dlatego silna fala porywa mnie każda,
dlatego pragnę głębi,
powagi, swobody —
a na wieczną pamiątkę rodzinnego gniazda
z oczu płyną mi strugi
słonej morskiej wody“.

Utwór ten rozpada się na trzy, wyraźnie rozgraniczone i logicznie z sobą związane, momenty myślowe, zamknięte w trzech odrębnych strofach, jakby w trzech frazach muzycznych.

Pierwsza — to proste stwierdzenie faktu, że ojczyzną duchową poetki jest morze. Z niego wyprowadza ona drzewo genealogiczne wszystkich tajemnic i zagadek swojej psyche.

Druga — to rozwiązanie zagadki przez utożsamienie siebie z syreną, taką, jaką znamy z bajki Andersena. Syreną, która przez miłość stała się kobietą-niemową; syreną, która ginie z pragnienia za ukochanym żywiołem, którą boli najlżejsze stąpięcie — najslabszy kontakt z ziemią. Nie dla niej była stworzona.

W trzeciej — konkluzja. Uzasadnienie własnej charakterystyki na podstawie poprzedniego. A zatem: skłonność do wielkich namietności, do silnych porównań, choćby przelotnych i krótkotrwałych („dlatego silna fala porywa mnie każda“), pragnienie głębi, powagi, swobody; wreszcie — lzy, owe „strugi słonej morskiej wody“, w której dusza płaczącej syreny topi swoje żale i zawody.

Nie wszystkie symboliczne autoportrety są wierne, szczególnie, gdy wehodzi w grę poetycka trawestyzacja, drapowanie się w pewien kostjum psychiczny, do którego później nałamuje się istotne odruchy wewnętrzne, poprostu dlatego, że w tym kostjumie jest nam do twarzy... To niebezpieczeństwo przykrawania

własnego oblicza do świadomie przywdzianej maski grozi zawsze indywidualnościom o słabej woli, a bujnej wyobraźni; nie wywrze jednak napewno głębszego wpływu na typ psychiczny, którego cały wysiłek życiowy i artystyczny skierowany jest ku osiągnięciu największej różnorodności i zmienności wrażeń.

Postawa Pawlikowskiej wobec rzeczywistości nigdy nie jest stała, ulega ciągłym zmianom, odchyleniom, odwołaniom i kaprysom. Pierwotna „różowa” magja młodości w zetknięciu z ziemią poczerniała i zbladła. Za mało w niej było wrodzonego demonizmu, aby się stała czarna; za mało anielskości, aby się stała białą magją wybrańców. Dobra wróżka pierwszych młodzieńczych zachwytych za dużo miała motyli puchów na wachlarzu, aby to balowe pieścidelko pierrotki zmienić w Wielki Wachlarz śmierci — czarny i złowrogi wachlarz Madama Butterfly, który „rozwił ściany i kwiaty, świat i Pinkertona“.

Nie! serce małej czarodziejki było ciężkie od łez, jednak nie tak ciężkie, aby z niem miała iść na dno, jak „Samobójca“. Nie było to serce topielicy, ale serce Syreny, rozdarłe pragnieniem rzeczy nieosiągalnych; serce, łaknące głębi, w której utonąć nie może.

I w tem tkwi istotny tragizm Syreny, w jej autoportrecie duchowym pominięty, prawdopodobnie dlatego, że ona sobie z niego nie zdaje sprawy. Tragizm ten polega na tem, że ona nietylko innych, ale i samą siebie kusi i uwodzi swym śpiewem. Marzenie o szczęściu zabija szczęście samo, zanim się jeszcze poczęło w łonie losu. Nic nie pomoże przywiązywanie się do masztu za przykładem mądrego Ulissesa. Syrena pójdzie za własnym głosem, który jest głosem jej przeznaczenia — poezją, i nigdy nie zdobędzie zaczarowanego królewicza z bajki Andersena, do którego nie umie przemówić ludzkim językiem, pytając w zdumieniu: „czemu mnie nie kochają i za co mnie męczą?“.

Cierpi, ale nie tonie.

„Boicie się o mnie? Dlaczego?“

Ach, życie jest burzliwe i złe nieskończenie,
lecz czyż potrzeba syrenie
pasa ratunkowego?“.

Śmiało rzuca się w odmęt, dając się porwać każdej silnej fali. Kult siły — to jeden z instynktów rdzennych i wrodzonych u Pawlikowskiej, który narówni z podświadomym genjuszem gatunku daje jej poezji, rozkwitłej w mdłej atmosferze cywilizacji i banalnego konwenansu, cierpki posmak pierwotności, jakby odległy atawizm kobiety jaskiniowej, korzącej się przed zdrowiem i mocą.

W swoim najbardziej naturalistycznym, nurzającym się w plugawych odpadkach i zgniliznie śmietnika, wierszu „Do chorego“ — Pawlikowska z brutalną otwartością propaguje, jako jedyne lekarstwo na niemoc fizyczną, autosugestję siły, płynącej z natury, celowe i świadome rozbudzenie drzemiących w sobie z nią, matką - przyrodą, pokrewieństw.

„Wspomnij o sile dębu, o rycerstwie ostu,
o czystych oczach sarny, o zdrowej malinie,
a przecież świat jest w tobie!“.

A dalej:

„Tyś maszyną, lecz również i jej mechanikiem
pchnij go więc do roboty, niech zakasze ręce
i niech naprawia dółtem, kluczem i pilnikiem.
Poczem wypręż mięśnie, żyj i nie grzesz więcej“.

Według wskazań tego nowoczesnego chochlikowatego Russa, choroba — to największy grzech przeciw przykazaniom natury i z tego punktu widzenia należy ją zwalczać. Kult siły — to religja życiowa Pawlikowskiej. Kult siły we wszystkich jej postaciach, począwszy od żądzy wyzycia się w bezmyślnym szaleństwie:

„Szczęśliwe drzewa!
Będą się mogły wyszumieć!“,

przez młodzieńczą pasję osiągnięcia najwyższego tempa życiowego:

„Dziś się żyje, jutro się umiera,
Ale żyje się siłą stu koni“,

kończąc na uwielbieniu potężnej męskości, zdolnej dać najwyższą sumę zmysłowej rozkoszy.

Wszystko jedno, czy to jest symboliczny Atlas, w którego „ramion atletycznym obrazie śpiewa wieczność szczęśliwa“, czy aeroplan, co „jest, jak orzeł śmiały. A oczy ma i serce mężczyzny“, czy marynarz „nieulękły silacz“, czy lew, „cały w grzywie i męskości“ — wszystko jedno, byleby przez ich siłę zwyciężyła miłość. Bo w triumf tej miłości Syrena wierzy, pomimo wszystko. „Dwoje jest nas na ziemi—dwoje słońce na niebie“—mówią zakochani, obojętni na kataklizmy kosmiczne, które dla nich są tylko potwierdzeniem najwyższego prawa miłości. Miłość rządzi siłami natury.

„Z twoich ramion widzę niebo, drżące rozkoszą. Spadła gwiazda. I druga, i trzecia. Prawdziwa to epidemja! Widać dzisiaj niebem jest ziemia, dlatego się gwiazdy przenoszą...“

Miłości nawet śmierć nie może zatrzymać w pędzie:

„Ty jesteś, jak paryska Nike z Samotraki,
o miłości nieuciszona!
Choć zabita, lecz biegniesz z zapalem jednakim,
wyciągając odcięte ramiona...“

Ale miłość nie daje ukojenia. Niesie ze sobą klątwę milczenia, zmorę tajemnicy, gnębiącą kochanków. „W altance nad jeziorem siedzą dwie niemowy, czekając, aby słowik niemoc ich wysłowił“. Połowę szczęścia kradnie milczący kochanek kochance. Łza, którą przypadkiem w mroku ociera mu z twarzy ramieniem, uchyla jej rąbka tajemnicy. Gdyby nie to, „byłaby wiecznie ciekawa i nieszczęśliwa“: ciekawa, co ukrywa się za murem jego milczenia; nieszczęśliwa, bo nigdy nie pewna jego uczuć.

Śmierć tylko daje rękojmię wierności, ta sama śmierć, którą przecież miłość już dawno zwyciężyła. Serapion i Thais, mumje kochanków w jednym z muzeów paryskich, budzą w poetce uczucie głębokiej zazdrości.

„Zazdroszczę ci, o Thais, śpiącego kochanka...
Nikt między was nie wejdzie, póki ziemia ziemią“.

Tak zamyka się pierścień miłości księżycowym kamieniem śmierci. Piękność ukochanego dwojakie może mieć przeznaczenie: może stworzyć „pałac dla życia, lub grób dla szczęścia“. Trzeciego wyjścia nie ma dla tych, którzy wolą żyć krótko, ale zato „siłą stu koni“.

Z rozmachem i na wolności. Swoboda — to drugie bóstwo Pawlikowskiej, fetysz, który tak skwapliwie składa się na ołtarzu miłości. Ale nawet, gdy się go złoży, żyje się złudzeniem, że się go posiada. Morze, powietrze — oto żywioły, które dają człowiekowi swobodę — ziemia czyni go swoim niewolnikiem. Stąd zrozumiałe u Pawlikowskiej ukochanie morza i przestworu.

Dwa tylko zawody godne są miłości Syreny: za-

wód marynarza i lotnika. To są dwa typy mężczyzn niebezpiecznych: oficer marynarki, w swym białym uniformie podobny do anioła, i lotnik, nowoczesny farys „ty przez niebo porwany mój święty“. Oni to zśród ludzi dzisiejszych mają wciąż do czynienia z realną „głębią i swobodą“, a przynajmniej z jej pozorami, ich zawód czyni ich dekoracyjnymi, jak niegdyś dekoracyjnym czyniła Filona gitara na błękitnej wstążce. Tylko z takimi ludźmi można osiągnąć właściwy rytm życia.

Ale rekordowe tempo w pościgu za szczęściem — to luksus, za który płaci się nieziszczalnością marzenia „co nie chciało umrzeć“, skrzydłami opalonymi w płomieniu świecy, który się brało za gwiazdę. „Widac mam oczy na skrzydłach, zamiast je mieć na twarzy. Bo na co skrzydłom oko? Wpatrzy się ślepo w błysk świecy i myśli, że leci do nieba“. W konsekwencji rozczarowanie, zawód, ból istnienia. „Boli mnie kontakt z ziemią, najlżejsze stąpienie“. W katastrofie weltszmercu rolę pogotowia ratunkowego odgrywają łzy. Syrena salonów ma te dwa plusy nad siostrą swoją z bajki Andersena, że może się wyplakać i swój ból wyśpiewać. Tamta musiała cierpieć w milczeniu, odjęta jej była nawet mowa łez.

Pawlikowska płacze tak, jak płaczą rozpieszczone dzieci: nagle, krótko i obficie. Płacz jej nie szpeci, dodaje nawet blasku oczom, rytmom płynności, a słowom gorzkiego nieco posmaku, zapachu morza. Już w najwcześniejszych jej wierszach „chustki od łez mokre suszą się na strychu“ i temi, niewątpliwie koronkowemi chusteczkami kokietuje się czytelnika, a sobie samej daje się zadośćuczynienie za utopione we łzach marzenia.

Nie są to jednak łzy sentymentalne. Pawlikowska, wielbicielka siły, płacze nie ze wzruszenia, ale z poczucia własnej niemocy, i dlatego jej łzy schną prędko. Osusza je każdy nowy wicher miłosny, każda zdobycz w dżungli salonów, gdzie piękna drapieźnica „urodziła Miłość, jak matka“, a potem „nie chce dźwignąć jej z ziemi na ręce i odmawia jej wszelkiej słodyczy swoich oczu, i ust, i uśmiechów“...

Łzy Pawlikowskiej są ekwiwalentem pieszczoty, niezbędną przyprawą w uczcie miłosnej, synkopą w kadencji pocałunków. Nie są to ani palące łzy Hjoba, ale też i nie chłodne łzy Lamartine'a. Daleko im do rozdzierającego szloch Trenów Jana z Czarnolasu i do tragicznych, urywanych łkań „Płaczącego ptaka“ Ilfakowiczówny. Są to łzy, dzięki którym lalka stała się kobietą, a milcząca syrena przemówiła. Po nitce tych łez, jak po paciorkach rozsypanego naszyjnika, w który niegdyś stroiła się przez zalotność, a który zerwała jednym szczerem mocniejszym szarpnięciem, Pawlikowska z wolna dochodzi do głębi i powagi. Szuka jej różnemi drogami. Sceptycznym uśmiechem i romantyczną zadumą, łobuzerskim flirtem ze zjawami seansów i płyt gramofonowych, i poważną, szczerą rozmową z duchami.

Głębia prawdziwej miłości spojrzała na nią oczami zmarłego komendanta łodzi podwodnej Ondyny. Głębia beznadziejnej rozpacz przemówiła do niej w dialogu utopionej kotki z uwiedzioną dziewczyną-topielicą pod mostem Sekwany. Głębia smutku i tęsknoty spływa na nią ze światłem księżycy obcego życia, umarłego dla świata.

Słodką i zwodniczą jest nauka żywiołu, którą pije się jednym tchem z pieniającego się kielicha rozkoszy—gorzka, ale niezawodna jest mądrość, która sączy się z leniwych wód Lety. Syrena, trawiona pragnieniem głębi, powagi, swobody, — pokolei pije u wszystkich źródeł życia i śmierci. A każde nowe źródło budzi nieznanne pragnienie.

Stefanja Podhorska-Okotów.



Stanisław Sheybal: „Liceum Krzemienieckie“.

MIASTO „JEGO” MATKI

(romantyczna przechadzka po Krzemieńcu)

Rzędy starych wierzb z obu stron szosy pochyliły się na prawo i na lewo, jakby je wiatr, rozcinany i odrzucany w bok pędem auta, rozchylił. Zostawiamy za sobą równinę dubieńską i nagle zaczyna się „to” łańcuchem wzgórz na horyzoncie. Z prawa i lewa zbliżają się i łączą przed nami falistą, łagodną linią.

Miasto niepodobne do żadnego z miast kresowych, inne od wszystkich, rozrzuconych po Polsce — miasto Jego Matki — schowało się za temi górami, odgradziło ich pasmem od amerykańskiego tempa życia dzisiejszego i czeka na pielgrzymów, przychodzących tu i powracających do jego najpiękniejszych wspomnień.

I od chwili, kiedy wzgórze gościnnie rozstępuje się na nasze przyjęcie, do godziny, kiedy w szaro-błękitnym świetle świtu porzucamy Krzemieniec — chodzimy, jak w pięknym i do niczego innego niepodobnym pólśnie. Niema nic w tem mieście, coby mogło zbudzić z niego. Są pewnie jakieś nowe domy, inne od starych dworców i żydowskich domków z łamanym dachem i gankiem na filarkach. Są napewno sklepy, kina i auta. Ale romantyczny czar Krzemieńca niweluje wszystko, przyswaja sobie każdą rzecz nową i współczesną i stapia wszystko w jeden — swój, niepowtórzony nigdzie styl. Poprostu nie dostrzega się niczego, co nie jest Krzemieńcem Czackiego i Słowackiego. Z każdego miejsca widzi się górę Bony i Czerczę, a nad wszystkimi domami, dworcami i budynkami góruje liceum, z wysokimi ko-

ścielnymi wieżami, tarasem i potężnymi szkarpani murów.

Niema nic piękniejszego od sentymentalnych krzemienieckich przechadzek. Każda uliczka, idąca w bok od głównej ulicy, jest cudowną niespodzianką. Wszystkie wspinają się gdzieś w górę w tunelu, teraz złoto-rudych, zwieszających się gałęzi. Można, idąc tak, obok ukrytych w gęstwinie domów, zabrać na podwórko typowego krzemienieckiego dworku; można wejść nagle na jakiś dach, niewidoczny z za krzewów i drzew. Wszystkie łączą się i plotą między sobą w labirynt płonących jesiennych drzew, białych ścian, filarków i wysokich dachów. Wszystkie są rozjaśnione nieodzowną w tych przechadzkach świadomością: „On to widział“.

Ale bliższym jeszcze i droższym staje się Krzemieniec dla wszystkich pielgrzymów z powodu jednego domu na Trynitarskiej*), jednego grobu pod płaczącym jesionem i wielu listów, adresowanych tu zdaleka. Krzemieniec pani Słowackiej jest tak namacalnie blisko, tak żywy, jakby dziś jeszcze nie ulotniło się z niego tchnienie jej obecności. W dziwnym oderwaniu od dzisiejszej chwili szuka się już nie jej śladów, ale jej samej w długim szeregu ciemnych postaci kobiecych, idących wieczorem na nieszpory, w małych, pnących się ku górze wśród drzew uliczkach, w salonikach krzemienieckich dworców, w któ-

*) Dom, gdzie umarła matka Słowackiego.

rych się chyba nic od tamtych czasów nie zmieniło. O, saloniki krzemienieckie! mahonie i czeczotki, empiry i Louis Phillip'y, jakże wówczas modne! Ogoniaste fortepiany z pośliską klawiaturą, podstawki do nut w kształcie liry, sekretarzyki o tysiącu skrytek, stare obrazy, przeglądające, jak przez tafłę wody, przez zielonkawę szklę — w płaskich ramach z czeczoty i hebanu; oszklone drzwi o drobnych szybkach, wychodzące na chwiejący się, spróchniały balkon — z Boną i Czerczą przed oczyma.

Zdaje się, że przed chwilą stąd wyszła, czy za chwilę tu przyjdzie, opowiedzieć o nowym liście z Paryża. I nawet wtedy, kiedy stoi się pod płaczącym jesionem nad jej mogiłą — kwiaty, które się kładzie na płytę przed kolumnką z urną, na której poraz pierwszy w Polsce zostało na zawsze utrwalone imię Juliusza Słowackiego — nie są złożone ze spokojem uroczystym, z jakim się je kładzie na pomnikach sławnych ludzi w oficjalne rocznice. Przynosi się je z ciepłym uczuciem, jak na mogiłę kogoś bliskiego i drogiego, kogoś, kto odszedł niedawno. I ilekroć byłam na tej mogile, na starym, zapomnianym, zarosłym trawą i drzewami cmentarzu — znajdowałam zawsze na płycie, za ogrodzeniem, kwiaty, położone pewnie z takim samym uczuciem czyjaś kochająca ręka.

Przypuszczam, że o wiele więcej jest w Polsce ludzi, którzy widzieli Paryż, Niceę i Rzym, niż tych, którzy oglądali Krzemieniec. A przecież nawet dla przeciętnego turysty, szukającego „widoków“, może być to miasto istną ich skarbnicą. Nie mówię już o szczegółach, które mogą tu na długo zatrzymać malarza, czy artystę-fotografa: przepiękne fragmenty

architektoniczne, liceum (choćby taras przed kościołem licealnym, schody, mury boczne etc.); charakterystyczne dla Krzemieńca dworki, rozrzucone po zboczach gór, żydowskie zajazdy o łamanym dachu, nieodzownym balkoniku na facjacie i podtrzymujących go słupkach, załamania uliczek — jednym słowem, bezlik drobiazgów, składających się na śliczny, staroświecki styl miasta. Ale widok całości z góry Bony dla takich turystów wart jest stanowczo podróży tak niedalekiej i niekosztownej. Widziałam stamtąd Krzemieniec w lecie i w jesieni, we dnie i w nocy — w księżycowym świetle.

Leży pod słońcem w dole, jak garść kolorowych kamyków, jak barwne mozaikowe tło dla białego, olbrzymiego gmachu liceum, prześlicznie łączącego dwa skrzydła wysmukłym, w środku półkola ścian stojącym kościołem. Ten gmach dominuje nad wszystkim. Zda się, całe światło księżycy skupiają wielkie płaszczyzny murów i tylko refleksy oświetlają niezliczone dworki, przyklepione do ciemnej ściany zarzewionych gór. W jesieni wszystko jest jakby objęte złotym i czerwonym pożarem. Coraz wyżej i wyżej pną się płowe i rude drzewa, sypiące suche liście na dachy domków, towarzyszących im w drodze na górę.

A jeśli spojrzeć w drugą stronę, w ujście wąwozu, w którym leży miasto — otwiera się oczom niezmierną dal, wielka przestrzeń zielonych pól, gdzieś w dole, u stóp, ginąca w lekkiej mgle, niebieskawej i fioletowej u krańców horyzontu.

Krzemieniec jest tak piękny, że kochają go nawet mieszkańcy, zazwyczaj na prowincji niechętni swojej „dziurze“. Niema chyba domu w Krzemieńcu,



Stan. Sheybal: „Stary dworek w Krzemieńcu“.



Stanisław Sheybal: „Widok na Krzemieniec z Góry Krzyżowej”.

którego ścian nie zdobyłyby obrazy, litografje i fotografje miasta.

Nic wielkiej tradycji, łącząca teraźniejszość z pełną chwałą przeszłością, jest tu tak silna, że Krzemieniec — bodaj jedyne z miast wołyńskich — otrząsnął się w jednej chwili z naleciałości zaborczych i jest dziś w takiej samej mierze polski, jak za czasów Czackiego. O ile w Równem, Łucku, czy Kowlu potraça się co krok o resztki, wspomnienia i tradycje rosyjskie, a przeszłość polska jest oddzielona przepaścią 150 lat i zasnuta mgłą legendy — w Krzemieńcu przebywa się tę przepaść jednym krokiem i zapomina się o niej. Jest tak samo teraz, jak dawniej „Atenami Wołyńskimi”.

Olbrzymią zasługę w tej mierze ma tu liceum. Nietylko zewnętrznie dominuje nad Krzemieńcem. Skupia wokół siebie całą inteligencję — promieniuje żywotną siłą, radosną pracą, potęgą materjalną! Jest jedną z najlepiej postawionych uczelni w Polsce i bezwzględnie najlepiej uposażoną materjalnie. Należą doń dziesiątki tysięcy hektarów lasów, łąk i ziemi ornej, dające pracę setkom ludzi i możność najlepszej nauki setkom dzieci. Święto liceum 28 października (imieniny Czackiego) jest świętem całego miasta. Język rosyjski, usłyszany na ulicy, w tem jedynem z miast wołyńskich, razi, jak coś obcego i niepożądanego (w innych — niestety — jest językiem, jaki się słyszy na każdym kroku).

Krzemieniec jest wysepką najczystszej polskości, nieskażonego stylu i wysokiej kultury. Owiany jest wielkiem tchnieniem romantyzmu. W trójkącie — między górą Bony, mogiłą pod płaczącym jesionem i gmachem licealnym — podały sobie ręce „wczoraj” i „dziś”, niesklócone ze sobą, niczem sobie nieprze-

ciwstawione — na owocną pracę, na ciągle dążenie naprzód, na szeroki, piękny lot ku przyszłości, na przywiązanie po wieczne czasy do Państwa tej ziemi, która była tak kochana i wspomniana z taką tęsknotą.

* * *

Ostatni spacer po Krzemieńcu wieczorem. Idziemy przed siebie główną ulicą. Sklepy zamknięte. Już niema nic — nic zupełnie z handlowego hałasu i szwargotu małego wołyńskiego miasteczka. Noc daje życie umarłym latom, minionym dniom, ludziom, którzy odeszli. Z bocznych uliczek wysuwają się i dążą gdzieś dalej, do siebie, do swoich wrośniętych w ziemię dworków, ciemne postacie kobiece.

Czy to Pani — Pani Bécu? Czy pisał pan Julusz i jak się miewa?

Nie — żadna nie jest tak smutna i tak szczęśliwa. Do żadnej nie pisze syn najpiękniejszych na świecie listów.

Kończy się ulica. Szosa do Szumska prowadzi serpentyną w górę. Całe niebo usiane błyszczącymi, jesiennymi gwiazdami. Po tych to gwiazd jasność posyłał Słowacki małą dziewczynkę do dalekiej ojczyzny — nad fale srebrnej Ikwy.

Wyjeżdżamy o świcie. Całe miasto śpi. W szarości, coraz to bardziej nasiakającej błękitem, gmach licealny wydaje się rzeźbą z kości słoniowej. Pod fi-larkami stłoczonych żydowskich domków czai się odchodzący mrok, a nad ruinami zamku na górze Bony pali się w blednącem niebie samotna gwiazda poranna.

Wiktoria Rymwid-Mickiewiczowa.

Z ŻYCIA EKRANU

(Filmy polskie).

Narodziny dźwiękowca, które przyczyniły się do upadku sztuki filmowej w tych krajach, gdzie stała najwyżej (przedewszystkiem więc — w Ameryce), wpłynęły dodatnio na jej rozwój w krajach, pod tym względem dotychczas upośledzonych. Zjawisko to w pierwszym rzędzie obserwujemy w Polsce.

Ludzie zazwyczaj niechętnie korzystają z cudzego doświadczenia, twierdząc, że każdy ma prawo do przekonania się o czymś na własnej skórze. Filmowcy polscy w jednym wypadku z prawa tego zrezygnowali i dobrze na tem wyszli. Zamiast niewolniczo naśladować wszystkie okresy rozwoju dźwiękowca w innych krajach, „przeskoczyli“ pierwszy etap i w ten sposób uniknęli pierwotnego grzechu filmowego — powrotu do teatru i jego kulis. To samo już jest coś warte i wyróżnia dodatnio filmy polskie z powodzi amerykańskiej banalności, jeżeli nie nawet wręcz — tandety.

Po za tą wartością względną, są jednak i bezwzględne. Zaczynamy mieć już różne typy filmów, zaczynamy stawiać sobie określone cele i dlatego łatwiej jest nam je osiągnąć.

Dawniej (jeszcze nie tak dawno) chcieliśmy w jednym filmie dać wszystko: i patriotyczną łezkę, i zagadnienie społeczne — pokazać i wojsko, i dwór polski, i miłość, i morze, i podejrzaną spelunkę, i apaszów... Tylko humor, który teraz zaczyna coraz częściej dochodzić do głosu, zawsze był na indeksie.

Dziś już widać postęp: każdy z czterech filmów tego sezonu ma, mniej więcej, zdecydowany charakter. „Na sybir“ (Płonące serca) — to film historyczno-popularny; „Niebezpieczny romans“ — film kryminalny; „Janko-muzykant“ — liryczny, z silną domieszką elementu komicznego i „Wiatr od morza“ — propagandowy.

Filmy polskie, o ile tylko były jako tako możliwe, zawsze cieszyły się u naszej publiczności dużym powodzeniem. Cóż do-



Z filmu: „Janko Muzykant“.

piero dziś, kiedy wartość ich wzrasta z każdym sezonem. Prostu stają się — modne. Jeden z dyrektorów dużego kina warszawskiego twierdzi, że żaden z zagranicznych przebojów nie robił ostatnio takiej „kasy“, jak „Na Sybir“. Wytwórnia „Sfinks“, z której film ten wyszedł (notabene — najstarsza w Polsce), nie odstępując od swej zasadniczej linii programowej tworzenia filmów dla najszerzych mas, w tym wypadku, prócz celów rozrywkowych, pomyślała o dydaktycznym. Bodaj że po raz pierwszy*) udało się stworzyć film historyczny tak pełen prostoty, pozbawiony patosu, zużytych akcesoriów i taniego „pokazowego“ patriotyzmu. Dla nas rok 1905 — to jeden z ostatnich etapów podziemnej walki o wolność. Film „Na Sybir“ poświęcony jest właśnie „nieznanym żołnierzom“ walk tego okresu, ich zbiorowemu wysiłkowi, który, niby wiecznie płonący znicz, jedno pokolenie przekazywało drugiemu, aby wreszcie oddać go Temu, kto potrafił ogniem tych „płonących serc“ przepalić mury więzienia.

Do tego, ażeby ten skrawek przeszłości przedstawić z umiarem, a jednocześnie z wiernością historyczną, przyczynił się niewątpliwie W. Sieroszewski (współtwórca scenariusza), który niejeden podobny epizod sam przeżył. Początek filmu jest trochę mdły i olady; ale z chwilą przeniesienia akcji do Warszawy, wypadki toczą się wartko, napięcie wzrasta, zaś sceny sybirskie i ucieczka, przypominają najlepsze wzory amerykańskie. Reżyser (H. Szaro) wydobyl wszystkie efekty scenariusza, zaś doskonała ilustracja muzyczna (Wars), piękne zdjęcia (inż. Gniazdowski) i świetna gra całego zespołu — świadczą, że twórcy filmu dołożyli wszystkich starań, ażeby film wypadł harmonijnie i artystycznie.

*) Dość szczęśliwą próbą w tym kierunku był film reż. Buczkowskiego p. t. „Szaleńcy“, zrealizowany przed kilku laty.



Z filmu: „Na Sybir“.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Romans ministerjalny“ — komedia w 3 aktach R. Coolusa i A. Rivoire'a. Przekład B. Hertza. Reżyserja Aleksandra Węgierki. Dekoracje Karola Frycza.

Scenarjusz „Wiatru od morza“ (znów „przeróbka“ Żeromskiego!), pomimo to, że wyszedł z pod pióra tej samej spółki (W. Sieroszewski i A. Stern) wypadł jednak o wiele gorzej od „Płonących serc“. Widocznie tworzyć jest łatwiej, niż przerabiać. Scenarjuszowi temu brak kulminacyjnego punktu, w którymby narastający konflikt znalazł ujście. Dramat, zaczynający się właściwie od pierwszej sceny, trwa przez cały czas filmu w jednakowym natężeniu, co sprawia, że mimo bogactwa treści, film jest monotony; w filmie propagandowym zwłaszcza — duża wada. Niewątpliwie jest w tem wina również reżysera (K. Czyński), który dla poszczególnych, dobrze zrobionych scen, nie umiał znaleźć wspólnego rytmu. Że też to morze, wечно falujące morze, nie nasunęło reżyserowi myśli o tem, czem jest *crescendo* i *decrecendo* — czem jest stopniowanie wrażeń! Pod względem aktorskim za to — sukces na całej linii; zwłaszcza wypadły świetnie role męskie, a wśród nich palmę pierwszeństwa trzyma Bodo. Na „niefotogeniczność“ Malickiej jest tylko jedna rada: zrezygnować z ekranu. Strona muzyczna — słaba.

W „Niebezpiecznym romansie“, który jest „wolną przeróbką“ *Fortuny kasjera Spienankiewicza* A. Struga, nie należy, broń Boże, szukać ilustracji tej ciekawej powieści. Bohater filmu jest w swych przesłankach psychologicznych zupełnie niepodobny do bohatera książki, co w sumie dało zupełnie inną fabułę, o podłożu kryminalnym.

Z omawianych, trzech filmów „Niebezpieczny romans“ ma może najlogiczniej zbudowany scenarjusz i jest najbardziej jednolity pod względem reżyserskim. Lecz jest to robota, czysta i sumienna, ale — rzemieślnicza. Reżyser z inwencją twórczą mógłby tam znaleźć więcej pola do popisu. W każdym razie jest to pierwszy polski film kryminalny, stojący na poziomie artystycznym.

Ilustracja muzyczna zasługuje na pochwałę. Widocznie nasi muzycy szybko dostosowali się do tego nowego rodzaju twórczości i mogą śmiało rywalizować ze swymi zagranicznymi kolegami. Najbardziej wypadły, oczywiście, sceny mówione; niedoskonałość techniczna robi je tembardziej zbędnymi.

Betty Amann stanie się, bodajże, taką polką „honoris causa“, jak „honorowym“ polakiem stał się Fr. Jarosy. Piękna i utalentowana amerykanka uczy się pilnie po polsku, gdyż ma już zapewnioną rolę w drugim filmie polskim. O ile w męskie talenty filmowe stajemy się coraz bogatsi, o tyle kobiet ciągle nam brak. Polskie piękności są albo nefotogeniczne, albo aktorsko niedoświadczone; to też uciekania się do pomocy gwiazd zagranicznych nie możemy się jeszcze wyrzekać.

Za to spodziewamy się, że i zagranica zaciągnie u nas „pożyczkę“. Dymsza i Krukowski mogą stać się ozdobą najlepszej wytwórni zagranicznej. Dopiero teraz, w „Janku-muzykancie“ przekonaliśmy się, jaki to pierwszorzędny materiał filmowy. Sceny filmu, w których występuje ta para, są najlepsze, choćby dlatego, że wnosi ona na ekran polski poraz pierwszy trochę humoru. Jest to jakgdyby zadatek na stworzenie nowego typu filmu polskiego.

Goetel, jako scenarzysta, zrobił nam zawód. Po jego pierwszym filmie („Z dnia na dzień“) spodziewaliśmy się przynajmniej czegoś równie dobrego. Nadzieję tę spełnił tylko w pierwszej połowie filmu; w drugiej — zdradza jakgdyby nagle zniechęcenie do tej roboty i kończy film pierwszym lepszym banałem.

Tę samą nierówność znać w reżyserji (R. Ordyński): po scenach doskonałych (nocna wycieczka Janka do pałacu, wszystkie sceny z parą komików) akcja nagle utyka, lub kręci się w miejscu; tempo staje się rozwlekłe, liryzm — sztuczny.

Ilustracja muzyczna (G. Fitelberg) bardzo dobra, choć szkoda, że nie podkreślono kontrastów dźwiękowych miasta i wsi.

Osiągnięte już rezultaty artystyczne, świadczące o wielkich postępach kinematografji polskiej, pozwalają się spodziewać, że wkrótce zostanie wzbogacona przez nowy rodzaj, którego bardzo nam brak: komedję i groteskę filmową. Oby — jak najprędzej!

Stef. H.

Kto po „Pani ministrowej“ pójdzie na „Romans ministerjalny“, tak się będzie czuł, jak ten, którego po misce zawiesistego, nieco przekwaśnialego żuru poczęstują kielichem szampana. Wprawdzie szampan to dosyć cienki, nie najlepszej marki i więcej w nim pianki, niż zacnego likworu, ale i ta pianka szumi lekko i mieni się tęczo, choć wydmuchana jest nad pustką.

Nie będziemy tu opowiadali treści tego romansu, który kolekcję banałności i farsowych sytuacji umiał opromienić kroplą sentymentu. To tak, jakby do starej, zakurzonej rupieciarni wpadł promień słońca, odnalazł sobie jeden zapomniany kryształ i zagrał na nim przez chwilę tęczowemi barwami. Na tym jednym wątłym promieniu zawisła tajemnica powodzenia komedjowych majstrów francuskich. Niby to przedstawiają stare graty sceniczne, a jednak zajmują, śmieszają i wzruszają. Widz sam nie wie, że jednym okiem płacze, drugim się śmieje, wychodzi z teatru zadowolony i dopiero w domu przychodzi mu na myśl: „Jakie to wszystko głupie!“.

„Romans ministerjalny“ miał i doskonałą obsadę i był puszczony w ruch niezawodnemi rękami Węgierki. Samborski może zanadto podkreślał tabetyczno-apoplektyczny typ groteskowego ministra rolnictwa, którego przypadek czyni prezydentem; Romanówna w roli sentymentalnej maszynistki zanadto robiła z siebie gęś i z ducha i z sylwetki; Jerzy Leszczyński i Mila Kamińska byli sobą, każde po swojemu, i tworzyli przemiłą parę kochanków. Całość była doskonałym uzupełnieniem bakalijswiętecznych.

S. P. O.



Teatr Polski: „Romans ministerjalny“. Janina Romanówna i Mila Kamińska.

TEATR NARODOWY.

„Pan Geldhab“ i „Nikt mnie nie zna“ — Aleksandra Fredry.
Reżyserja Sliwickiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

Karnawał i w teatrach rozpoczęliśmy repertuarem jednomyślnie lekkim, czy też lekkomyślnie jednostajnym. W Operze „Orfeusz w piekle“, w Polskim „Romans ministerjalny“, w Małym „Lekkomyślna siostra“, w Letnim „Pani Ministrowa“ w Narodowym to, co poza arcydziełami Fredry, jest w nim z gatunku lżejszego, co do humoru i co do artystycznej wagi.

„Pan Geldhab“ stoi właściwie jedną postacią — tytułową. Inne, nawet doskonała Flora, to tylko epizody wobec tego klasycznego dorobkiewicza. Geldhaba od niepamiętnych czasów grał Frenkiel. Robił go i robi doskonale. Ale coś się zepsuło „w państwie duńskim“. Czy to Frenkiel, czy Fredro się zestarzał, czy poprostu w życiu więcej jest teraz i o wiele śmieszniejszych Geldhabów, niż na scenie, i jego prymitywny snobizm już dziś nikogo nie dziwi, niewiadomo; dość, że w Narodowym raczej smutno było, niż wesoło na Geldhabie. Nikt się nie śmiał pełnym gardłem, chyba ci nieliczni przedstawiciele młodzieży, do których niezblazowanej wrażliwości najłatwiej trafia Fredro. Nad całym widowiskiem zawisła jakaś gnębiąca ospałość, coś drewnianego było w figurach i słowach.

Majdrowiczówna w roli Flory siła się napróżno, aby stać się charakterystyczną: Różycki zawsze doskonale nosi frak, wszystko jedno — czarny, czy kolorowy; Staszkowski może zbyt nie pogłębił psychicznie swego pieczeniara, owiał shawowską zadumą bezczelność i teńczość. Ale wszyscy skradali się do swych ról bez przekonania.

Szybsze tempo i więcej dezinwoltury rozwinięto w krotchwili „Nikt mnie nie zna“, gdzie Kurnakowicz w drugorzędnej roli Kaspra zaćmił Marka Ziębę w wykonaniu Skarzyńskiego, który miotał się aż nazbyt tragicznie, jak na płoche jednoaktówkę. Mieszkańskie środowisko dawało widać pole do większej plastyki i hałaśliwego humoru od salonów nowobogackich, bo rozprężyło i scenę i widowie.

Całość stanowi doskonale przedstawienie dla młodzieży. Teatr Narodowy najwidoczniej się w nich specjalizuje. S. P. O.

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE „ŚWIATA“

Dwadzieścia pięć lat temu pokolenie pisarzy, stawiające wówczas pierwsze kroki na drodze literackiej i publicystycznej, dowiedziało się, że powstaje tygodnik o europejskim zakroju



Redaktor „Świata“ Stefan Krzywoszewski przy pracy.

i nowoczesnym rozmachu. Tygodnikiem tym był „Świat“ — dziecko inicjatywy i niezmordowanej pracy swego twórcy i redaktora Stefana Krzywoszewskiego.

Chwila, w której powstawał, była momentem przełomowym i dla wszelkich poczynań wydawniczych niesłychanie trudnym. Był to przecież rok 1905, rok strejku szkolnego i rewolucji rosyjskiej, a w ruchu literackim i społecznym całej Europy okres przewartościowania wielu wartości.

„Świat“ obrał sobie stanowisko, jedynie możliwe i racjonalne w tych czasach: stanowisko wrażliwego obserwatora, skwapliwie notującego zjawiska aktualne i wydającego o nich sąd dopiero po ich dojrzeniu i owocowaniu. Tę linię wytyczną „Świat“ utrzymał i dotąd przez cały ciąg swego dwudziestopięcioletniego istnienia, zawsze żywy, barwny i aktualny, wlot chwytający zainteresowania ogółu, a nie poddający się zbyt niemiennie prądom chwili.

Jego zasłużonemu twórcy i długoletniemu redaktorowi — panu Stefanowi Krzywoszewskiemu — zasyłamy z okazji dwudziestopięciolecia „Świata“, wyrazy uznania i najserdeczniejszych życzenia dalszej owocnej pracy przy swym umiłowanym warsztacie. S. P. O.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ“.

Helena Romer-Ochenkowska: „Tutejsi“.

Tomasz Mann: „Czarodziejska góra“ — tom I i II przekład Józefa Kramsztyka, tom III przekład Kazimierza Osuchowskiego, tom IV przekład Juljusza Feldborna.

Don Byrne: „Opowieść bez nazwy“ — przełożyła Stan. Kuszelewska.

Carl Van Fechten: „Raj murzynów“ — przełożyła Stefanja Heymanowa.

Arnold Ulitz: „Bękart“ — przełożyła dr. J. P. Zajączkowska.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE.

Witold Dembicz: „Groza“ — powieść. Słowo wstępne napisał prof. Henryk Mościcki.

Or - Ot: „O Jasiu Dręcycielu“ — rysunki i okładkę wykonał Antoni Gawiński.

Marja Buyno: „Kazia duża“ — powieść dla młodzieży; rysunki i okładkę wykonała Wanda Romeykówna.

B. Dyakowski: „Nasz las i jego mieszkańcy“. Rysunki i okładkę wykonał K. Mackiewicz.

Marja Buyno-Arctowa: „Wyspa Mędrców“ — z rysunkami Antoniego Gawińskiego.

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA.

Tadeusz Zieliński: „Świat antyczny“. Część pierwsza. Starożytność bajeczna.

Władysław Grzelak: „Łódka z biegiem Wisły“.

H. C. Andersen: „Baśnie“.

Jakób Wassermann: „Krzysztof Kolumb — Don-Kichot Oceanu“. Przekład Aleksandra Wata.

Hanna Mortkowiczówna: „Pawełek w ogrodzie zoologicznym“ — wiersze i obrazki.

Zbiorowe wydanie powieści Anatola France'a. Wstęp Jana Parandowskiego.

„Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką“. „Bogowie łakną krwi“. „Thais“. „Zbrodnia Sylwestra Bonnard“.

Kobieta w świecie i w domu

ŚMIERĆ WNUCZKI MARYLI.

W ostatnich dniach ubiegłego roku zmarła w Nowej Wsi, koło Tuhanowicz, ś. p. Marja Tuhanowska, wnuczka Maryli Wereszczakówny-Puttkamerowej, Mickiewiczowskiej Maryli. Nie mając bezpośrednich spadkobierców, ś. p. Tuhanowska zapisała rodzinny majątek Tuhanowicze mińskiemu Tow. Rolniczemu, aby nie przeszedł po jej śmierci w ręce rządu rosyjskiego. Daniem było jednak zacnej patrijotce doczekać odrodzenia Polski. Po wojnie stała się nanowo właścicielką Tuhanowicz, w których przechowywała wszystkie drogie, rodzinne tradycje i pamiątki. Cała okolica nadała jej nazwę „świętej pani“. Świetlana jej postać znana była daleko, poza Nowogródczyną, odbywano liczne wycieczki do Tuhanowicz, aby odwiedzić tę niezwykłą kobietę, której dobroć, przedziwna słodycz i jasny do ostatniej chwili umysł jednały każdego, kto miał sposobność zbliżyć się do niej.

Odnaczona przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Orderem Polonia Restituta, otrzymując od państwa Polskiego 350 zł. miesięcznej renty, jako dożywocie, wzamian za zapisane rządowi Tuhanowicze, cały prawie zasilek oddawała ubogim i różnym instytucjom.

Interesowała się żywo i nieustannie rozwojem życia polskiego, ruchem i związkami kobiecemi, żyła sercem w nowej, szczęśliwej Polsce.

Niech Jej ukochana ziemia lekka będzie.

LEGJONISTKI POLSKIE Z PRZED STU LAT.

W jubileuszowym roku rewolucji listopadowej liczne dzienniki nasze drukują krótkie streszczenia z pism ówczesnych, obrazujące to, co działo się w kraju w tym pamiętnym czasie. Między innymi czytamy taką wzmiankę:

„Ukazała się również odezwa do kobiet, by tworzyły pułk Sarmatek. Zadaniem tego pułku miało być zaopatrywanie żołnierzy w bieliznę i żywność, opatrywanie rannych i podtrzymywanie na duchu trwożliwych. Pułk miał składać się z oddziału pieszego, konnego, oraz jadących w powozach. Ubiór Sarmatki: suknia amarantowa, płaszcz biały, na głowie konfederatka, u boku para pistoletów“.

Nie była to jeszcze legja kobieca, ale w każdym razie projekt, przypominający przysposobienie wojskowe.

TO SĄ DZIELNE NIEWIASTY.

W Londynie powstaje obecnie wielki dziennik kobiecy: „The call“ („Wezwanie“). Organizacją pisma zajmują się wyłącznie kobiety, zbierając potrzebne fundusze; każda akcja kosztować będzie jeden funt, kapitał wynosić ma miljon funtów; ogromna część akcyj jest już wykupiona. Dziennik zawierać będzie zwykłą treść codziennych pism: politykę, sprawy społeczne, gospodarze, wiadomości i artykuły, obchodzące wszystkich. Sprawy kobiece będą, naturalnie, traktowane szczególnie i poważnie, bez tak częstej w męskich pismach ironji, lub fałszywego oświecenia. Współpracownikami mają być zarówno mężczyźni, jak kobiety.

Zasadniczą tendencją pisma, które ma być politycznie zupełnie bezpartyjne, jest agitacja przeciw zbrojeniom i propaganda pokojowej, braterskiej współpracy narodów. Czy ta propaganda doprowadzi do celu? Bóg wie. Życzyć jej trzeba powodzenia, nie bardzo wierząc w wielki rezultat. W każdym razie to dzieło kobiet imponuje finansowym rozmachem i liczbą chętnych zakładawczyń i czytelniczek. Te lubią czytać i wiedzą, jak to jest w życiu potrzebne.

NOWE POSELANKI AUSTRJACKIE.

Podczas ostatnich wyborów do parlamentu austriackiego weszło jedenaście posłanek; jest to liczba prawie podwójna w stosunku do poprzedniej (sześć). Większość stanowią kobiety pracujące, w tem nauczycielki i kierowniczkę szkół.

ŚLYSZELI, ŻE DZWONIA...

Projekt obywatelskiej służby kobiet w Polsce, nad którym nie zdążyła się jeszcze rozwinąć u nas prawdziwie wyczerpująca dyskusja, obudził już żywe echa zagranicą. Komentują go pisma francuskie i angielskie. Niestety, komentują błędnie.

Paryski „Petit Journal“ oświadcza, że do Sejmu (!) wpłynął projekt służby *wojskowej* kobiet, który ma wszelkie szanse przyjęcia przez Izbę! Tę samą wersję powtarza angielski „Glasgow Daily Record“. Ten ostatni pomieszał sobie widocznie przysposobienie wojskowe ze służbą obywatelską, pisze bowiem, że kobiety nie będą wcielane do szeregów, lecz tylko przygotowywane do służby w armji. Tego rodzaju mylne pogłoski należałoby prostować. Powinno to być zadaniem naszych placówek dyplomatycznych.

W AMERYCIE BĘDZIE MINISTERSTWO DZIECKA.

Z doniosłym projektem wystąpiła jedna z posłanek amerykańskich, pani Bryan Owen: utworzenia ministerstwa Opieki nad dzieckiem. Wychowanie dzieci, przyszłych członków społeczeństwa i obywateli państwa, jest, zdaniem p. Owen, sprawą równie ważną, jak przemysł, handel, wojna i t. p. resorty. Skoro te czynniki życia społecznego mają swoje ministerstwa, tembardziej zasługują na taki urząd sprawy dziecka. Ministrem powinna być, naturalnie, kobieta. Ministerstwo zajmowałoby się przede wszystkim sprawami racjonalnego wychowania i opieki nad dziećmi.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Zakończenie roku przyniosło dosyć urozmaicenia w zakresie różnych wydarzeń na szerokim świecie. Jednym z najbardziej groźnych była rewolucja w Hiszpanji; zdawało się przez parę dni, że naprawdę sprowadzi daleko idące zmiany w tym kraju. Bunt wszczęty został w twierdzy Jaca, a inicjatorami jego byli lotnicy, na których czele stanął „as“ hiszpański: major Ramon Franco, zresztą do niedawna osobisty przyjaciel króla Alfonsa. Okazało się jednak, że większość wojska stanęła po stronie monarchji, rozruchy stłumiono, nie bez licznych ofiar. Major Franco uciekł na swym samolocie do Portugalji; spokój zapanował, przynajmniej pozornie.

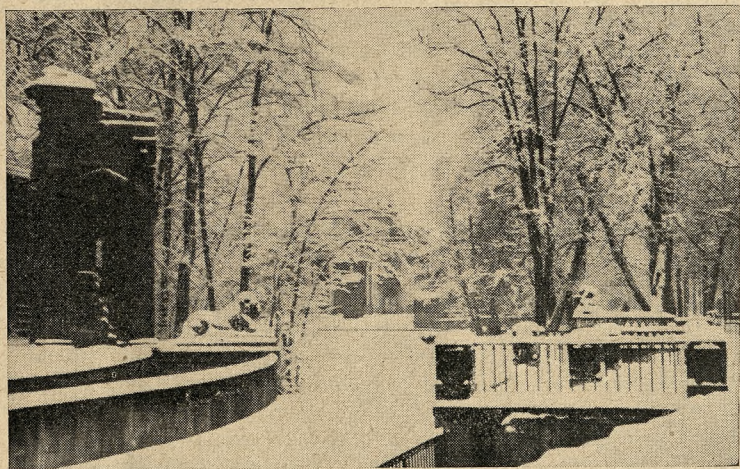
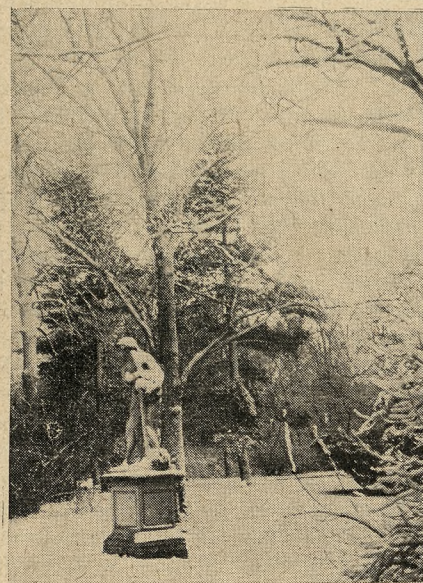
Drugą ważną sprawą stało się stanowisko Anglji wobec rządu Sowieców. Anglicy, którzy dotychczas mieli ciągle złudzenia, że uda się utrzymać naprawdę szersze i dobre stosunki z bolszewikami, tym razem, zdaje się, rozczarowali się dokładnie. Bolszewicy rozpoczęli ostatnio systematyczną propagandę radjową przeciw Anglji, a podczas słynnego procesu partji przemysłowej, oskarżeni (których tylko chyba po to stawiono przed sądem) otwarcie „przyznali się“, że prowadzili przeciwbolszewicką agitację z pomocą angielskiego rządu. Wszystko to są rzeczy, z punktu widzenia wzajemnej, kurtuazyjnej polityki rządów niedopuszczalne. Premier Mac Donald sparzył się więc mocno w swem zaufaniu do Sowieców i wycoufuje się bardzo ostrożnie, ale dosyć stanowczo ze swej przyjacielskiej polityki.

Tak niedawno, zdaje się, minęła wielka wojna, a już odeszło z tego świata wielu jej bohaterów, tych, co dźwigali na swych barkach olbrzymią odpowiedzialność za setki tysięcy ludzkich istnień, za honor i przyszłość swego narodu. W roku zeszłym zmarł marszałek Foch, obecnie straciła Francja drugiego wielkiego męża, marszałka Joffre.

Pierwszy, od wojen napoleońskich, marszałek Francji, był też naczelnym wodzem w pierwszej, najcięższej dla swej ojczyzny fазie wielkiej wojny, jego talentowi, patrijotyzmowi i bohaterstwu zawdzięcza Francja sławną kampanję nad Marną.

Po zawarciu zwycięskiego pokoju, usunął się w zacisze prywatnego życia, zmarł, mając lat 79, otoczony chwałą i czciami wdzięcznych rodaków.

WARSZAWA POD ŚNIEGIEM



Śnieg, który na ulicach miasta tworzy brzydkie, szare sterty, prędko i pracowicie wywożone, lub zgarniane do kanałów, zamienia nie tylko pola i lasy, ale nawet ogrody i parki miejskie w uroczą bajkę. Drzewa nabierają innych kształtów o dekoracyjnym rysunku, dziwnie lekkim, o pół zatartych konturach a głębokiej, odmiennej perspektywie. Śnieżny puch niweluje drobne nierówności terenu, tworząc jednostajne podłoże, na którym wszystko odcina się żywiej, inaczej.

Warto wybrać się w taki dzień na daleki spacer, użyć ruchu na rzeźwem, zimnem powietrzu i nasycić wzrok cudami natury. Warszawa ma cudowne parki: stare pamiątki i przedwieczne drzewa Saskiego Ogrodu i Łazienek, nowoczesnie stylizowane zakątki parku Ujazdowskiego i Skaryszewskiego. Jest gdzie iść i na co popatrzeć.

NASZA MÓWNIKA

Stosownie do zapowiedzi w Nr. 52 „Bluszczu“ z r. z., wprowadzony zostaje szereg zmian i ulepszeń, zmierzających do jaknajwiększego ożywienia pisma, dostosowania go do ciągle nowych zadań życiowych, wymagań kulturalnych, idei społecznych i sytuacji gospodarczej kobiet.

Naskutek tej reorganizacji i dużego przyływu nowych materiałów, nie możemy nadal poświęcać tak wiele, jak dotychczas, miejsca głosom naszych Czytelniczek i Korespondentek w „Mównicy“. Prosimy zatem o jaknajwiększe streszczanie się w przeznaczonych do „Mównicy“ głosach, przy jednoczesnym kładzeniu nacisku na żywołe sprawy aktualne: krótkie dyskusje, wymianę myśli, projekty nowe, zwłaszcza w zakresie tak ważnych obecnie dla każdej kobiety tematów organizacji nowoczesnego gospodarstwa domowego, spraw mieszkaniowych, budowlanych i ekonomicznych, pracy zawodowej i kulturalnej. Takie krótkie, żywe listy i artykułiki nie będą napełniono mniej ciekawe, a znakomicie ułatwią wszystkim Paniom stałe zabieranie głosu, ciągły kontakt z Redakcją i współczycielniczkami.

Mamy nadzieję, że jak dotychczas, dział ten cieszyć się będzie tak miłą dla nas sympatją i uznaniem Pań i że nadal będziemy dążyć wspólnie do podniesienia poziomu naszego umysłu, charakteru i życia w rodzinie i społeczeństwie, w których kobieta jest dzielną współtwórczynią.

Wpływ miłości na indywidualność kobiety.

Z wielkim zainteresowaniem czytam zawsze listy czytelniczek, biorących udział w dyskusjach na łamach „Bluszczu“. Dziś poraz pierwszy odważam się rzucić pewną myśl. Być może, że zagadnienie to nada się do dyskusji. Otóż całemu zagadnieniu dałabym tytuł: „Czy kobieta, kochając, ztraca poniekąd swą indywidualność, czy też nie?“.

Wiadomą rzeczą jest, że kobieta ma naturę bardziej podatną na wpływy, idące z zewnątrz, niż mężczyzna. Dochodzili do tego wniosku znani psychologowie, a i nie jedna z nas, kobiet, zdaje sobie z tego sprawę. Naturalnie, istnieją kobiety o bardzo silnych indywidualnościach, ale ja pragnę mówić o kobiecie przeciętnej. Nie wiem, czy słuszne wypowiedź zdanie, twierdząc, że proces dojrzewania wewnętrznego, zarówno kobiety, jak mężczyzny, łączy się nietylko z wiekiem i kształtowaniem się umysłu, ale jest w stosunku zależnym od zmiany środowiska, od obcowania raz z tymi, to znów z nowymi ludźmi. Dochodzę do sensu zagadnienia: wydaje mi się, że taki właśnie proces kształtowania się naszych wartości wewnętrznych występuje najsilniej u kobiety, która kocha. Kobieta kochająca przeistacza się, wydobywa z głębi swej duszy najszlachetniejsze pierwiastki. Ale nasuwa się pytanie, czy kobieta kochająca nie ztraca w pewnej mierze swej indywidualności, czy nie zachodzi tu właśnie ze zdwojoną siłą ten proces, o którym mówiłam poprzednio.

Jeśli chodzi o mnie, wyznaję otwarcie, że aczkolwiek nie należę do kobiet słabych, ani do tych, co to nasiakają lada wpływem, jak gąbka, to jednak uczucie, jakie żywię, sprawiło, że zaczynam odnajdywać drugą siebie, że silna indywidualność człowieka, którego kocham, narzuca się mojej indywidualności.

Czy to źle, czy dobrze i czy wiele kobiet zauważyło na sobie ten objaw? Bardzo pragnęłabym się dowiedzieć.

„Polonistka“.

Lepiej z mądrami stracić (w odpowiedzi na Dru-głos).

Są przekonania, które ciążyą na pokoleniach wieki całe, a których nikt nie ma odwagi odrzucić, choć nie pasują do dzisiejszych stosunków i obecnych ludzi. Jednym takim zabytkiem jest „duma męska“, o której wspominał p. Tadeusz Jastrzębiec Rogowski w swoim dialogu. Z jednej strony drobne paluszki kobiece wydrapały szeroki tunel pod tą czcigodną twierdzą, z drugiej rozlegają się rozpaczliwe krzyki obrońców tradycji, że gruz tej twierdzy zasypią raz na zawsze szczęście rodzinne. Warto by się jednak pokusić, by tę dziś już bezużyteczną twierdzę, zwaną „dumą męską“, obejrzeć dokładnie i, albo przebudować z niej ciepły i jasny dom rodzinny, albo tę starą rudę poprostu zwalić. Skąd ona pochodzi? Może z tych czasów gdy mężczyzna zdobywał chleb i spokój dla swej rodziny, walcząc z dzikim zwierzem, lub gorszym od zwierzęcia człowiekiem? Może też miała sens wtedy, gdy mężczyzna broniąc honoru kobiety, krzywdy uciśnionych, lub własnej czci, nie wahał się narażać własnego życia. Może i wtedy była zrozumiała, gdy po stromej drabi-

nie cywilizacji wspinał się mężczyzna, wpatrzony w daleki ideał. Ustępowała mu z drogi kobieta, przejęta podziwem dla jego czynu, stawiając nieśmiało stopy w jego ślady. Wyprzedził też znacznie kobietę i osiągnął upragnioną wyżynę. Ale tu, czy zawróciło mu się w głowie, czy też przypadkiem, stracił ideał na głowy pnących się mozolnie kobiet. Wtedy, widząc ołtarz pusty, umieścił na nim pieniądz.

Kiedy, trzymając bezcenny skarb, zrzucony przez mężczyznę, kobiety dobiegły szczytu, ludzkość podzieliła się na dwa obozy: czciciele ideału i czciciele pieniądza. I dziwnym zbiegiem okoliczności, w pierwszej grupie więcej jest kobiet, w drugiej mężczyzn.

Stanąwszy na równym poziomie, kobieta spytała, jaki jest rezultat pracy i wysiłków, które złożył mężczyzna na ołtarzu cywilizacji. I spostrzegła nuda, pesymizm i brak celu dalszego życia. Nie dziwnego, że lekceważąc wysiłki, które tak strasznie chybiły celu, kobieta zapytuje, z czego bierze się ta duma? ta chęć panowania nad drugą istotą ludzką? Mężczyzna stawia jako podstawę szczęścia rodzinnego, dwa warunki: kobieta materialnie powinna być zupełnie zależna od męża; kobieta musi stanowczo być mniej wykształcona, by autorytet męża nie był niczem zachwiany.

Jeżeli chodzi o zależność materialną, to już samo życie pokazało mężczyźnie figę. Czasy są takie, że zarobek najpracowitszego mężczyzny nie starczy na utrzymanie rodziny; kobieta musi dorabiać. Gdy więc zależność materialna nie da się zastosować, należałoby się zastanowić, jak wyglądać ma w praktyce zależność moralna. Otóż w „Dwugłosie“ wykształcenie kobiety ma się kończyć na sześciu klasach gimnazjalnych. Jeżeli przyjmujemy, że gimnazjum daje ogólne wykształcenie (bo uniwersytet specjalne), jeżeli dalej przyjmujemy, że ósma klasa pozostaje na powtarzanie całego materiału do matury, to łatwo osądzić, że brak tej jednej klasy nie będzie robił żadnej różnicy w ogólnym wykształceniu. Zwłaszcza, jeśli żadna wiedza kobieta, nie zajęta pracą zarobkową, zechce swoją wiedzę uzupełnić. Wtedy różnica wypadnie na niekorzyść mężczyzny, któremu praca zarobkowa nie da możliwości pracy nad sobą.

A więc pozostałaby, jako wymarzony typ, naprawdę tylko „Stuprocętowa gęś“. Taki ptaszek w młodości delikatnym kolorem swego upierzenia ładząco przypomina kwiat mimozy, po kilku latach pożycia, zamienia się w syczącą i wiecznie gęgającą gęś, z którą pożycie jest niemożliwe. Swym ptasim mózgiem nie potrafi ocenić mężczyzny inaczej, jak materialnie. Jeśli mąż straci majątek, lub stanowisko, porzuci go bez namysłu. Zawsze może przyjąć korzystniejszą ofertę, a w najlepszym razie, jeśli jest bez „przesądów“, uzupełni braki kosztem honoru.

Już to stare przysłowie mówi: „Lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć“. A przecież małżeństwo to bardzo mozolna i trudna wyprawa po szczęście całego życia. Bezpieczniej i lepiej mieć towarzysza mądrego, dzielnego, znającego swoje obowiązki. Towarzysza, co pracą swoją pomoże do utrzymania rodziny, słowem, współnika i szczerego druha. A jeśli Bóg da obopólną miłość, to znalazło się największy skarb: szczęście.

Hanka z Małopolski.

O WYCHOWANIU ESTETYCZNYM

Przez kulturę estetyczną rozumiemy możliwość i umiejętność odczuwania piękna we wszelkich jego przejawach, we wszelkich formach plastycznych.

Przedewszystkiem uprzytomnić sobie musimy, jakie są elementy, składające się na piękno form plastycznych.

Są to: mądrze zrozumiana i uwzględniona celowość danego przedmiotu, czy wogóle danej formy; głębokie zrozumienie i wczucie się w materiał, z którego przedmiot powstał, i harmonja linii i barw.

Te podstawowe zasady estetyki zaszczerpieć należy od dzieciństwa, a uczynić to można jedynie przez właściwie prowadzoną naukę rysunku i robót ręcznych. Dopiero te dwa przedmioty — przy pełnem zrozumieniu, na czem współpraca ich polega — dać mogą prawdziwe wykształcenie estetyczne.

Nauka rysunku, oprócz rysowania z natury, które ma w życiu znaczenie praktyczne, musi obejmować naukę rysunku dekoracyjnego, naukę kompozycji. I nie tylko kompozycji rysunkowej: równoległe muszą być prowadzone ćwiczenia obmyślania i wykonywania projektów w różnych, łatwo dostępnych materiałach. Wpoją one przeświadczenie, że poszanowanie i zrozumienie materiału, techniki i narzędzia są decydującym i kierującym czynnikiem we wszelkiej kompozycji plastycznej. Przeświadczenie to rodzić się może i powinno już przy pierwszych robótkach, które dajemy do rąk dziecka — czy to będą ozdoby choinkowe, czy łatwe zabawki.

Niestety, częstokroć matki nie zdają sobie sprawy, jaka jest pełna pedagogiczna wartość tych robótek. O ile rozpowszechnione jest zrozumienie, że wszelka praca ręczna nauczyć musi wytrwałości, zręczności i dokładności — o tyle znaczenie jej estetyczne jest bardzo często niezrozumiane i niedoceniane; wskutek czego stanowi ona nieraz poprostu szkołę złego smaku, którą późniejsza nauka z trudem zwalczać musi. W swej pracy pedagogicznej spotykam się z tem zjawiskiem na każdym kroku.

W domach bardzo kulturalnych, gdzie na wychowanie dzieci nie szczędzono żadnych wydatków i trudów, przy pełnem zrozumieniu wielu zagadnień — słyszałam zdanie, wypowiedziane z rozbijającą szczerością, że nauczycielka słoju jest kompletnie pozbawiona gustu i wszelkiego smaku, a ileż to razy słyszy się jeszcze twierdzenie, że zabawka, lub robótka są brzydkie, ale dla dziecka wystarczające!

Takie postawienie sprawy jest niedopuszczalne. Jeśli pedagogika dzisiejsza pracuje nad tem, by we wszelkich dziedzinach wydoskonalic metody nabywania wiedzy, to pamiętać musimy, że zdobycie poczucia estetycznego zależy od tej linii, po której prowadzimy dziecko od najwcześniejszego wieku. Poziom artystyczny zabawek i obrazków, konsekwentnie przeprowadzona metoda robót ręcznych, które dajemy dziecku — są podstawą i przygotowaniem estetycznego wykształcenia.

Dalsza nauka w domu, czy w szkole winna harmonijnie i systematycznie podstawy te rozwijać. Wtedy niedopomyślenia będą fakty, dziś często spotykane, że ludzie dużej nawet kultury są kompletnymi analfabetami w dziedzinie estetyki.

Marja Werten.

KARNAWAŁOWE SZMATKI

— Kochana Niusiu! Poratuj mnie w wielkim kłopotcie. To nawet więcej, niż kłopot: to poważne zmartwienie. Bo gdyby chodziło tylko o mnie. W moim wieku... Wprawdzie inne kobiety koło czterdziestki zaczynają dopiero rozsmakowywać się w najwymyślniejszych frykasach życia — ale ja... boję się zgagi... Co innego — moje córki. Dla nich dopiero otwiera się zaczarowany świat złudzeń i ja nie mam prawa, ani serca im tego świata zamykać.

— Hm! — uroki życia... poważne zmartwienie... zaczarowany świat złudzeń... Rozumiem! To pewno jakieś kłopoty toaletowe?

— Jesteś genialną kobietą, Niusiu! a będziesz więcej, niż kobietą; aniołem, jeśli mnie wyratujesz z mej biedy. Posłuchaj.

— Słucham.

— Otóż, jak wiesz, miałyśmy zamiar z Zosią i Helą wyjechać na karnawał do Zakopanego. Dziewczętom więcej uśmiechały się narty, niż posadzki dancinów. Ani nam w głowie były toalety balowe. Aż tu piorun z jasnego nieba — tak częsty w dzisiejszych czasach: gotówka zawiodła. Trzeba było zostać w Warszawie. Sylwestra tradycyjnie spędziliśmy u braterstwa; było hucznie i wesoło, ale nasze toalety przedstawiały się wprost tragicznie. Ja w mojej kusej zaprzeszlorocznej sukni, bohatersko ale bez powodzenia podłużanej falbanami z tiulu, przetrwałam tę noc, jak na mękach. Czułam, że wyglądam, jak „Madame sans gêne“, w epoce, kiedy stała za balją w podkaszanej kiece. A moje dziewczęta... W niemodnych sukienkach straciły pół świeżości i uroku. Z rozpaczą myślę, jaki smutny będą miały karnawał...

— Rozpacz zupełnie nie na miejscu. Przedewszystkiem powiedz mi szczerze, czy rozporządzasz jakimiś dwustu złotymi na inwestycje balowe?

— No tak, dwieście złotych się znajdzie, ale przecież to starczy za ledwie na jedną suknię...

— Mylisz się, moja droga. Mam na to pogląd nieco odmienny. Śmiałaś się nieraz ze mnie, że biegam, jak kot z pecherzem, z jednej rewji mód na drugą i że to wzbudza we mnie fałszywe apetyty. Otóż, kochanie, widok pięknych kreacji tylko w głupiej kobiecie budzi pokusy i niezaspokojone pragnienia; rozsądną pobudza do racjonalnej rewizji swojej własnej garderoby. Tym razem moje doświadczenie, zdobyte tą drogą, doskonale może i wam się przydać. A zatem zacznijmy od ciebie.

— Od tej nieszczęsnej czarnej koronkowej sukni...

— Właśnie. Zasłużoną emerytkę postaramy się zmodernizować. Spód jedwabny jest jeszcze zupełnie dobry. Należy go tylko nieco podłużyć. Na to wystarczy ćwierć metra crêpe de chiné'u. Wierzch natomiast musi ulec radykalnej zmianie. Trzeba dokupić 3 metry czarnej żorżety, z tego zrobić princessę, dobrze obciskającą talję, a rozszerzającą się u dołu. Górę sukni przyozdobimy ażurowym karczkiem z koronki. Dół rozszyjemy wysoko zachodzącymi godetami również z koronki, tak, żeby falował, jak kielich kwiatu. Do tego naszyjnik z turkusów (sztucznych — naturalnie) albo z zielonych okrągłych kamieni.

Ale... ale, à propos zielonego koloru. Przypominam sobie z twojej niedawnej przeszłości toaletowej prześliczną suknię jasno zieloną, którą porzuciłaś z żalem, twierdząc, że jest dla ciebie za młoda; jeżeli ją chcesz „postarzyć“, a jednocześnie uwspółcześnić, każ ją przefarbować na kolor „vert myrthe“, niesłychanie modr... Przydałoby się dla kompletu sortie



z „velours chiffon“ w tym samym odcieniu, z rozszerzonymi u dołu rękawami, obszyte czarnym futrem. Będzie ono doskonale pasowało i do czarnej koronkowej sukni, jak również i długie czarne rękawiczki ze skórki glacé.

Ale to są dodatki, pożądane na większe, reprezentacyjne zebrania i bale. Na rauty i tańczące herbatki wystarczy sama suknia, a do niej twój czarny lis „alaska“, który zawsze jeszcze doskonale wygląda. Wreszcie przychodzi mi na myśl jeszcze jedna, całkiem oszczędnościowa kombinacja: zrezygnować z sortie, natomiast dokupić trochę więcej czarnej żorżety i zrobić bolerko z rękawami, które w każdej chwili może suknię ze strojnej wieczorowej zmienić w wizytową.

— W głowie mi się kręci od tyłu projektów. Boję się, żebym nie przekroczyła twego oszczędnościowego budżetu. Ale idźmy dalej. Co zrobić dla dziewczynek?

— O ile sobie przypominam, ich zeszlóroczne sukienki były dosyć szerokie, z falbanami na spódniczkach. Ten styl można zachować, bo najbardziej odpowiada ich wiekowi. Kolory pastelowe już się trochę opatrzyły i sprawiają wrażenie przyblakłych. Radziłabym przedewszystkiem obie sukienki spruć i przefarbować: jedną na kolor morelowy, drugą na turkusowy. Starszej, która ma ramiona pełne i spadziste, doskonale będzie z dekoltem à la Biedermeier; wycięcie należy obszyć bertą z koronki jedwabnej w tym samym kolorze, co suknia. Dla młodszej, o budowie garsonki, właściwszy będzie dekolt trójkątny z przodu i z tyłu. Jedyną ozdobą tych dziewczęcych sukienek będą kwiaty. Do turkusowej dwa fantastyczne kielichy powoju: jeden biały, drugi czarny. Będzie to przypominało dawny sposób oprawiania turkusów w emalję. Morelowa ślicznie będzie wyglądała z pękiem drobnych kwiatuszków błękitnych i morelowych, przypiętym z tyłu, na zakończenie dekoltu. A kiedy ten naiwny bukiet „giroflay-girofla“ znudzi się panience, można go zastąpić pękiem białych fiołków parmeńskich.

A teraz pomyśl: czy wy we trzy: mama w czerni lub w ciemnej mirtowej zieleni, jako tło, i powiewne postacie twoich dziewczątek, jedna różowa, druga błękitna, — nie będziecie tworzyły ślicznej gamy kolorów?

— Już sobie wyobrażam ten widok, a przede wszystkim radość moich trzpiotek. Dziękuję ci serdecznie, moja droga Niusiu. Ciężki kamień zdjęłaś mi z serca. Chociaż ważył tylko tyle, ile pęk pajęczych szmatek i motyli kwiatów. Ale przecież pajak jest symbolem troski, a na skrzydłach motyla tak szybko ulatuje od nas młodość...
Angelo.

JAK UMEBLOWAĆ ŁAZIENKĘ

Jak się to czasem dziwnie zdarza: wraz z ciasnotą mieszkaniową ocknęła się z długiego snu — od rzymskich czasów — moda na łazienkę. Każda z nas zrzekłaby się nawet „saloniku“ — ubikacji koniecznej w dawnym pojęciu — na rzecz łazienki. Stała się ona warunkiem, którego niedopełnienie dyskwalifikuje najkompletniej każde mieszkanie. O ile więc dawniej, przy umywalniach w sypialni, sporo osób chodziło po świecie niedomytych — o tyle teraz mycie i kąpiel stały się nietylko obowiązkiem, ale i rozkoszą, której wyrzeczenie się jest nie do pomyślenia.

Jest jednak jeszcze jedno *ale*, które możnaby sformułować w zmodyfikowanym przysłowiu: „pokaż mi swoją łazienkę — powiem ci, kim jesteś“.

Nie mówimy tu o łazienkach, doskonale wymiśnianych przez Magdalenę Samozwaniec, z kubłem na węgiel, pogrzebaczem, miotłą, walizkami i — czarnym kotem, który, jak wiadomo, lubi przebywać w mało uczęszczanych miejscach.

Nie możemy też kwalifikować kultury pani domu według technicznych urządzeń: nie każdy, zwłaszcza w małych miasteczkach, może sobie pozwolić na piecyk gazowy i prysznic, a nawet na bardzo dowieczne urządzenie kotła w kuchni, z którego gorąca woda stale jest doprowadzana odpowiednimi rurami do łazienki, tak, że mamy ciepłą kąpiel w każdej chwili, o ile przytem pali się pod blachą. Urządzenie to gorąco można polecić wszystkim architektom w małych miasteczkach i na wsi, bo jest ono bodaj że najpraktyczniejszym wyjściem przy braku gazowni.

Chodzi nam o urządzenie, celowe, praktyczne i estetyczne, nawet najskromniejszej łazienki, w której stoi piecyk węglowy, a nawet tej, która jest po prostu pokojem kąpielowym z wanną i wygodną umywalnią bez piecyka; komfort jej bowiem będzie zależny od szybkości nagrzewania wody, ale umeblowanie może być równie wygodne w każdej.

Pierwszym warunkiem takiej łazienki jest biała wanna; najdroższe i najszybkowniejsze są kaflowe i porcelanowe, ale już konieczną do zachowania czystości i estetyki jest emaljowana: zwykłe, blaszane, są ciemne, brzydkie i zawsze wyglądają, jak brudne. Ileż takich wanien spotykało się w najwspanialszych mieszkaniach przedwojennych, w tych dawnych, rzekomo dobrych czasach!

Emaljowana wanna więc jest podstawą nowoczesnej łazienki. Pozatem jednak musi być umywalnia: o ile jest kanalizacja — wśróbowana w ścianę, o ile nie — drewniana lub metalowa, ale wygodna i z dużą miednicą oraz kubkami do wylewania wody, a choćby tylko zwykły duży stołek, lakierowany na biało, z dolną półką na mniejszą miednicę.

Skoro już mowa o umywalni — popelnia się czasem duży błąd, używając skanalizowaną umywalnię jednocześnie do płókania ust i do mycia. Znacznie wygodniej i higieniczniej jest mieć kubek do wylewania wody, umywalni zaś używać tylko do mycia górnej połowy ciała, a do dolnej — tubu (rodzaj gumowej czy metalowej wanienki-balji), lub wanny — w najgorszym razie drugiej miednicy (o ile w podłodze łazienki niema otworu, przez który woda mogłaby ściekać, co jest najwygodniejsze). Prysznic, połączony z kanalizacją, można zastąpić przez specjalny metalowy zbiornik wody, zawieszony na ścianie, z sitkiem, dającym pochyły strumień wody. Model taki, opracowany przez kasę chorych, był demonstrowany na P. W. K.

Dalszym nieodzownym warunkiem kulturalnej łazienki są półeczki — najlepiej osobne dla każdego członka rodziny, bo męski pendzel do golenia, zamylający naszą szczotkę do zębów — to wątpliwa przyjemność, nie mówiąc już o dziecinnych przyborach do mycia, które powinny być jak najbardziej izolowane. Półeczki najlepsze są szklane na metalowych podstawkach, ale z powodzeniem mogą je zastąpić drewniane, lakierowane na biało, lub na inny jasny kolor, kontrastowy czy stonowany z kolorem ścian. Półeczki te powinny być umieszczone tak, aby każdy właściciel mógł do nich łatwo sięgnąć ręką.

Wszelkie proszki i mydła muszą się znajdować w celuloidowych, szklanych, porcelanowych, lub metalowych (nierdzewiejących) pudełkach i puszkach.

Wszelkie kartonowe pudełka i papierowe torebki są niedopuszczalne w łazience: drą się, albo przemakają, zanieczyszczając ją w sposób nader kłopotliwy i niechlujny.

Oprócz półeczek do przyborów toaletowych konieczny jest pod ich kolor lakierowany wieszak na ręczniki, z dostateczną ilością haczyków, aby każdy z członków rodziny miał gwarancję, że nikt inny jego ręczników (w ilości dwóch na osobę) nie używa. Najlepiej więc przypiąć na tymże wieszaku karteczki z imieniem właściciela, nie zapominając o haczyku „gościnnym”. Jeszcze lepsze są drewniane wieszadła. Ręczniki najlepsze są kosmate—byłe w dobrym gatunku, bo tanie drą się b. prędko, a przez to się nie kalkuluja.

Oprócz wieszaka na ręczniki, konieczny jest także wieszak na prześcieradła kąpielowe, ładniejsze i praktyczniejsze w postaci płaszczy, bo lepiej osuszają ciało i wyglądają estetycznie, niczem się nie różniąc od szlafroka. Płaszcz taki można uszyć z posiadanego już prześcieradła, lub z materiału kupionego na metry, co wyniesie taniej, niż kupowanie gotowego.

Pozatem do racjonalnego umeblowania łazienki konieczna jest druciana lub emaljowana mydelniczka, dopasowana do wanny, na mydło i szczotkę kąpielową, i haczki, do których łatwo byłoby dosięgnąć ręką, na szorstkie rękawice.

Ważnym atrybutem łazienki z oknem (które jest w niej jaknajbardziej pożądane) jest stolik toaletowy, również lakierowany, przykryty białą serwetką, z lustrem, ustawiony w pełnym świetle, który może służyć za toaletę i odciążać w ten sposób pokój, rzadko dziś będący tylko sypialnym, a najczęściej mieszczący gabinet, dziecinny, salon, a nawet jadalnię.

Wszelkie więc zabiegi toaletowe Pani, jak: masaż, czesanie, pudrowanie, maquillage — z powodzeniem mogą być przeniesione do łazienki. Oczywiście, lepiej, jeśli wszelkie substancje upiększające nie pozostają w aptecznych butelkach i kartonowych pudełkach, a są rozmieszczone w komplecie kryształowym lub szklanym — jest to prezent, który swoim bliższym wartoby podsunąć, zamiast dostawiania na imieniny cukierków, czy kwiatów.

Lusterko do golenia pana najlepiej będzie zawiesić w pobliżu jego półeczki, bo wątpliwym jest pomyślnie prosperowanie spółki przy jednym stoliku.

Dla uzupełnienia umeblowania łazienki trzeba pomyśleć o dywaniku przed wanną — z masy korkowej, linoleum, albo, jeszcze lepiej, specjalnie wyrabianych z materiału, podobnego do tych, jakich się używa na płaszcze kąpielowe. Dywaniki takie są obecnie w handlu i kosztują niedrogo.

Dla przyozdobienia tego najmilszego z pokoi użyć można lekkich, zupełnie nie zaciemniających firanek, stor zsuwanych i koniecznie „zazdrostki”, jeśli nie możemy wprawić szyb matowych — w ostateczności oklejenia szyb specjalnym papierem. Światło elektryczne w łazience nie powinno być zdawkowo traktowane (najczęściej daje się 16-to świecówkę): lampa powinna być jasna, ruchoma i doskonale oświetlająca stolik toaletowy.

Rzecz jasna, że najlepsze światło dzienne dają okna na wschód, bo zalana rannem słońcem łazienka zostawia miłe wrażenie na cały dzień. Urządzona w sposób kulturalny, może się stać najmilszym kątem w domu, bo niema tak złego humoru, którego by nie załagodziła ciepła kąpiel.

Ogrzana do odpowiedniej temperatury, wietrzona i sprzątna porządnie, łazienka może nam dać więcej zadowolenia, niż najwspanialszy salon, a niezrównanie bardziej świadczy o kulturze domu. W. B.

KILKA SŁÓW O KOZACH

Wzrastające bezrobocie, a co za tem idzie, straszna nędza, jaka się zaczyna szerzyć w kraju, powoduje niedostateczne odżywianie. Może się to później fatalnie odbić na zdrowiu, zwłaszcza dzieci. Należy więc wyteżyć wszystkie siły, aby nie zaniedbać niczego, coby temu choć w małej części zapobiec. Do takich środków zaradczych należy rozszerzenie hodowli kóz. Sprawa ta leży prawie zupełnie odłogiem. A przecież koza jest żywicielką biedoty i może dostarczyć sporo zdrowego pokarmu. Hodowla kóz powinna znaleźć większe zrozumienie i wyższe miejsce w hierarchji, niż dotąd.

Licha krowa daje do 600 l. mleka, podczas gdy dobra koza, przy należytej pielęgnacji, da do tysiąca.

Za taką ilość mleka zadowolnia się bylejaką obórką na mieszkanie i karmi się odpadkami domowymi. Każdy dom posiada obierzyny z kartofli lub jarzyn, pomyje i t. p. Wszystko to zwykle jest wyrzucane, a może doskonale wykarmić jedną, lub dwie kozy. Sama zaś pielęgnacja kozy zajmuje tak mało czasu, że nie można tej sprawy brać pod uwagę.

Wybór rasy do chowu jest rzeczą dosyć trudną ze względu na wielką ilość ras kozich.

Hodowla kóz leży w rękach ludzi biednych, którzy rzadko mają na to, aby kupować sztukę rasową. Zwłaszcza daje się odczuć brak dobrych kozłów. Tak więc najlepszy nieraz materiał zostaje marnowany przez nieumiejętną krzyżówkę. Skutkiem tego przestaje być naprawdę użytkowym.

Dla naszego klimatu i dla naszych warunków uważam za najodpowiedniejsze bezrogie szwajcarki, lub też kozy rasy Simmentaler.

Utrzymywanie kozła jest rzeczą kosztowną i rzadko kto może sobie na to pozwolić. Tutaj właśnie odpowiednie organizacje rządowe i społeczne powinny przyjść ludziom z pomocą. Organizacje te powinny przeznaczyć pewną kwotę na zakup i utrzymanie reproduktora. Koszt to nie taki wielki, zwłaszcza, że część kosztów, a może nawet i wszystko, mogłoby się zwrócić. Każdy bowiem za pokrycie kozy chętnie pewną kwotę zapłaci. Jeśli zaś zważymy, że jeden kozioł wystarcza na 80 — 100 kóz, to taksa od pokrycia nie musi być nawet wysoka.

Dobrego kozła cechują następujące zalety: zwięzła budowa z silną głową; zgrabna, a jednak nie za długa szyja; nogi stosunkowo grube i silne; szynki mięsiste — wogóle cała postać zgrabna i wesoła, oko żywe. Bardzo ważną rzeczą przy utrzymywaniu kozła jest łąka gdyż reproduktor powinien mieć dosyć dużo ruchu, aby się nie zatył. W okresie pokrywania musi dostawać owies.

Mleczną kozę cechuje wydłużona budowa z szeroką piersią i szerokimi krzyżami i lędźwiami. Wymienię powinno być duże i miękkie, ale nie mięsiste, gdyż to oznacza małą mleczność. Nogi nie powinny być zbyt wysokie, włos miękki i lśniący. Waga średniej kozy sięga do 40 kgr. Okres ciąży u kozy trwa 5 miesięcy. Jeśli koza ma więcej, niż dwa kozłeta, to trzeci zawsze należy karmić sztucznie, względnie dać matce, która ma tylko jedno.

Zapomocą sztucznego karmienia możemy kozłeta wychowywać doskonale. Przez pierwszy okres życia powinny 5 razy dziennie otrzymywać po $\frac{1}{5}$ l. mleka. Ilość tę podnosimy stopniowo przez 5 tygodni do $\frac{3}{5}$ l. Potem dajemy tylko 3 razy dziennie po $\frac{1}{2}$ litra — trwa to przez 2 tygodnie. Następnie zmniejszamy dawkę do 1 l. dziennie. Począwszy od trzeciego tygodnia, czynimy kozłatko dokarmiać sianem, srutem owsia-

nym, gotowanymi kartoflami, liśćmi kapusty i t. p. Jako napój, dajemy tylko czystą wodę. Kto chce mieć od kozy dużo mleka, musi sobie dokładnie uświadomić, iż koza mleka z powietrza nie daje, a jest tylko tą fabryką, która odpadki domowe na to mleko przerabia. Natura przystosowała kozę do pastwiska. Latem więc powinna być koniecznie pasiona. Jeśli zaś to niemożliwe, wówczas karmimy ją zżętą trawą, chwastami wypielonemi i wreszcie liśćmi, które ją bardzo chętnie. Możemy dawać liście winne, dębowe, lipowe. Gałązki chmielowe uważa za delikatesy. Koza wymaga możliwie wielkiej różnorodności w pokarmie.

Zimą karmimy naszą wychowaną sianem, koniczyną, gotowanymi kartoflami, lub obierkami, dając od czasu do czasu trochę kwaszonej kapusty. Dawki pokarmowe powinny być jednorazowo niewielkie, gdyż inaczej koza dużo marnuje. Latem przy świeżej karmie należy zadawać 5 razy, zimą zaś wystarczy trzy razy dziennie.

Oczywiście, tak samo, jak nie da się pomyśleć racjonalnej hodowli krów bez pasz treściwych (makuchoy, otręby i śrutę zbożowe), tak samo i koza, aby dawała dużo mleka, musi te pasze dostawać. Kilo paszy

treściwej znosi doskonale i umie się za to odwdzięczyć.

Koza jest bardzo wrażliwa na karmę zepsutą: nie należy jej nigdy dawać rzeczy spleśniałych, zaćmionych, lub zmarzniętych.

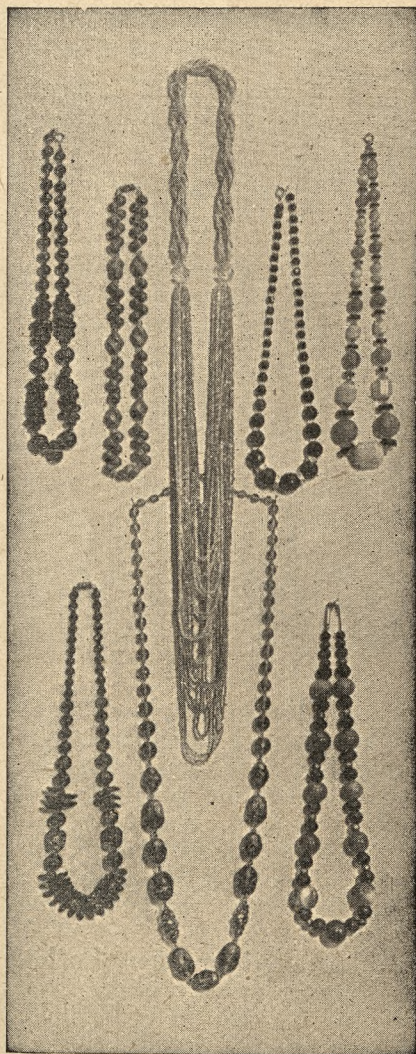
Trzeba pamiętać o dobrej obórce — jest to rzecz bardzo ważna. Obórka powinna być przede wszystkim sucha i ciepła. Ściółki nie żalować i nawóz możliwie często uprzątać.

Kupując kozę, należy zawsze badać smak mleka, aby nie miało zbyt silnego, specyficznego koziego zapachu. Kozie mleko jest nadzwyczaj zdrowe — zawartość tłuszczu dochodzi do 6 proc.; nad krowim mlekiem ma jeszcze i tę przewagę, że doskonale może być podawane w stanie surowym. Kozę tylko w wyjątkowych wypadkach podlegają gruźlicy. Masło z mleka koziego jest białe i niesmaczne. Tam, gdzie samego mleka spożytkować nie można, wskazanem jest przerobić je na ser, który jest nie tylko zdrowy i smaczny, ale zwykle posiada dobrą cenę rynkową. Ser taki robi się tak samo, jak zwykły krowi.

Mięso dorosłej kozy nie jest zbyt smaczne (z powodu zapaszku) ale mięso z młodego utuczonego kozłątka jest naprawdę dobre. *Marzenna Saryusz-Stokomska.*

PREMJE DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“

ZWYCZAJEM LAT UBIEGŁYCH PRZYGOTOWALIŚMY I W TYM ROKU CENNE UPOMINKI DLA NASZYCH STAŁYCH PRENUMERATOREK, UPOMINKI, KTÓRE NAPEWNO URADUJĄ KAŻDĄ Z CZYTELNICZEK.



Posłuchajcie!

Kto wnieśli wprost do naszej Administracji 30 zł, t. j. półroczną prenumeratę „Bluszczu“, opłaconą z góry,

OTRZYMA, JAKO BEZPŁATNĄ PREMJE, JEDEN Z NASTĘPUJĄCYCH PRZEDMIOTÓW DO WYBORU:

- 1) MODNY NASZYJNIK (paciorki), odpowiedni do każdej sukni i niezbędny dla każdej eleganckiej pani;
- 2) Zaczętą, z dołączonemi dodatkami, SERWETKĘ na talerz do chleba;
- 3) Znany ze swej dobroci KREM DO RĄK, wyrobu firmy Fr. Puls, w Warszawie;
- 4) FLAKON znakomitej WODY KOŁONSKIEJ — PULSA.

Przesyłając prenumeratę, należy koniecznie wymienić, którą premję Pani wybiera, gdyż w przeciwnym razie wyślemy podług naszego uznania.

Niezależnie od tych premij każda 20-ta prenumeratorka, z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę otrzyma prześlizne wydawnictwo „Sztambuch-Skarbnica romantyzmu“ w opracowaniu St. Wasylewskiego. Każda setna, dwuchsetna i t. d. otrzyma arcydzieło M. Grossek-Koryckiej p. „Świat Kobiety“.



GRZYBY SUSZONE

Większość gospodyń nie docenia wspaniałego materiału, jaki posiada w postaci grzybów suszonych. Robi się z nich zupełną perlą zabelaną, pierożki z rumianem masłem, czasem kładzie parę grzybów do postnej zupy na smak, na Wilję dusi się z nimi kapustę — i na tem koniec.

Tymczasem grzyby są jednym z najpożywniejszych artykułów spożywczych, mogących w wielu wypadkach zastąpić mięso. Są one właściwie podstawą wszelkich dań pożywniejszych w kuchni jarskiej, nadając smak i aromat nieco mdłym kombinacjom mącznym i jarzynowym.

Odwar grzybowy w kuchni jarskiej używa się do wszystkich prawie zup i sosów. Powszechnie znane kostki buljonowe „Maggi“, „Ilsa“, „Ochsa“ i t. p., prawdziwe i podrabiane, uchodzą powszechnie za wyciąg mięsny, są właściwie w głównej części wyciągiem grzybowym i smakowo przez dobrze zaprawiony wyciąg grzybowy zastąpić się dadzą.

Jeszcze latem, dopóki mamy obfitość grzybów świeżych, zjawiają się one częściej w naszych jadłospisach; lecz gdy przyjdzie zima, zupełnie o grzybach zapominamy. Może przyczyną tego jest brak prawdziwie wyborowego suszu grzybowego na rynkach. Chociaż w tym kierunku co roku widać postęp, i coraz częściej widzimy w handlach gastronomicznych grzyby młode, białe, wyborowe.

Właściwie najlepsze są grzyby, suszone w cienkich płatkach, tak, jak je suszą w Czechach, gdzie wszędzie sprzedają torebki muślinowe, napełnione takimi suszonymi płatkami. Takie grzyby po wycięciu przez dwadzieścia cztery godziny w mleku, lub nawet zimnej wodzie, w smaku nie ustępują świeżym i tak, jak świeże, przyrządzać się dadzą. U nas są one rzadko spotykane, jednak od czasu do czasu widuje się je w lepszych handlach gastronomicznych.

Na przyrządzanie takich grzybów powinnyby zwrócić uwagę gospodynie wiejskie, same robiące zapasy dla domu i na sprzedaż. Miałyby napewno zbyt zapewniony, osiągnęłyby znacznie wyższą cenę od zwykłych wiankowych grzybów i dały szereg smakowitych potraw w zimie, kiedy jarzyn wybór nie duży.

Suszenie takich grzybów jest nadzwyczaj łatwe: kraje się młode grzybki możliwie najcieniej, rozsypuje na płótnach i suszy w cieniu, lub, co jest najprędzej, na rozgrzanym strychu. Dobrze wysuszone konserwuje się w torebkach pergaminowych, w miejscu suchym i przewiewnym, aby nie pleśniały.

Lecz i ze zwykłym sposobem suszonych, wiankowych grzybów możemy mieć mnóstwo dań, mogących zastąpić ryby i jarzyny tam, gdzie o jedne i drugie trudno. Należy tylko umieć kupić i dobrze wybrać grzyby, stosownie do tego, na jaki użytek ich potrzebujemy. Najlepsze, oczywiście, są grzybki młode, o białym spodzie, i suszone bez korzonków — same czapeczki. Jednak i dużymi grzybami, tak zwanymi żółciakami, nie należy pogardzać, o ile są zdrowe, nie zrobaczące. Najmniej korzyści w kuchni przynoszą korzonki grzybowe, po ugotowaniu najczęściej puste. Kupując grzyby, powinniśmy przelamać parę korzonków: jeśli w nich niema śladu robaków, możemy być pewni, że i w samych grzybach ich nie znajdziemy.

Chcąc użyć grzybki na potrawy, zbliżone smakiem do grzybów świeżych, musimy je namoczyć na dwadzieścia cztery godziny w słodkim mleku, lub w zimnej czystej wodzie, przyczem należy naczynie z nimi trzymać w chłodnym miejscu. Przez ten czas grzybki wypiją dużą część płynu, ładnie napęczniają

i można je następnie dusić w maśle z cebulką i śmietaną, a będą, jak świeże. Do wykwintniejszych sosów możemy też tak samo wymoczyć grzybki przed użyciem. Na czyste rosoly jarskie należy używać młode grzybki: stare dają zbyt ciemne zabarwienie i zbyt ostry aromat. Natomiast większe, starsze, byle zdrowe grzyby można brać na wszelkie pierogi, paszteciki, kulebiaki, kotlety grzybowe i wogóle na farsze. Po usiekaniu są one soczystsze i dają bardziej spoiste, mniej rozsypujące się nadzienie.

W kuchni jarskiej możemy z grzybów, różnych kasz i mąki robić najrozmaitsze pierogi, paszety, budynie, kotlety i zapiekanki. O ile grzybki stanowią tylko nieznaczną, że tak powiem, ozdobną lub aromatyzującą część dania, bierzemy grzybki młode; o ile, przeciwnie, są one główną, podstawową masą — grzyby większe, starsze, będą odpowiedniejsze.

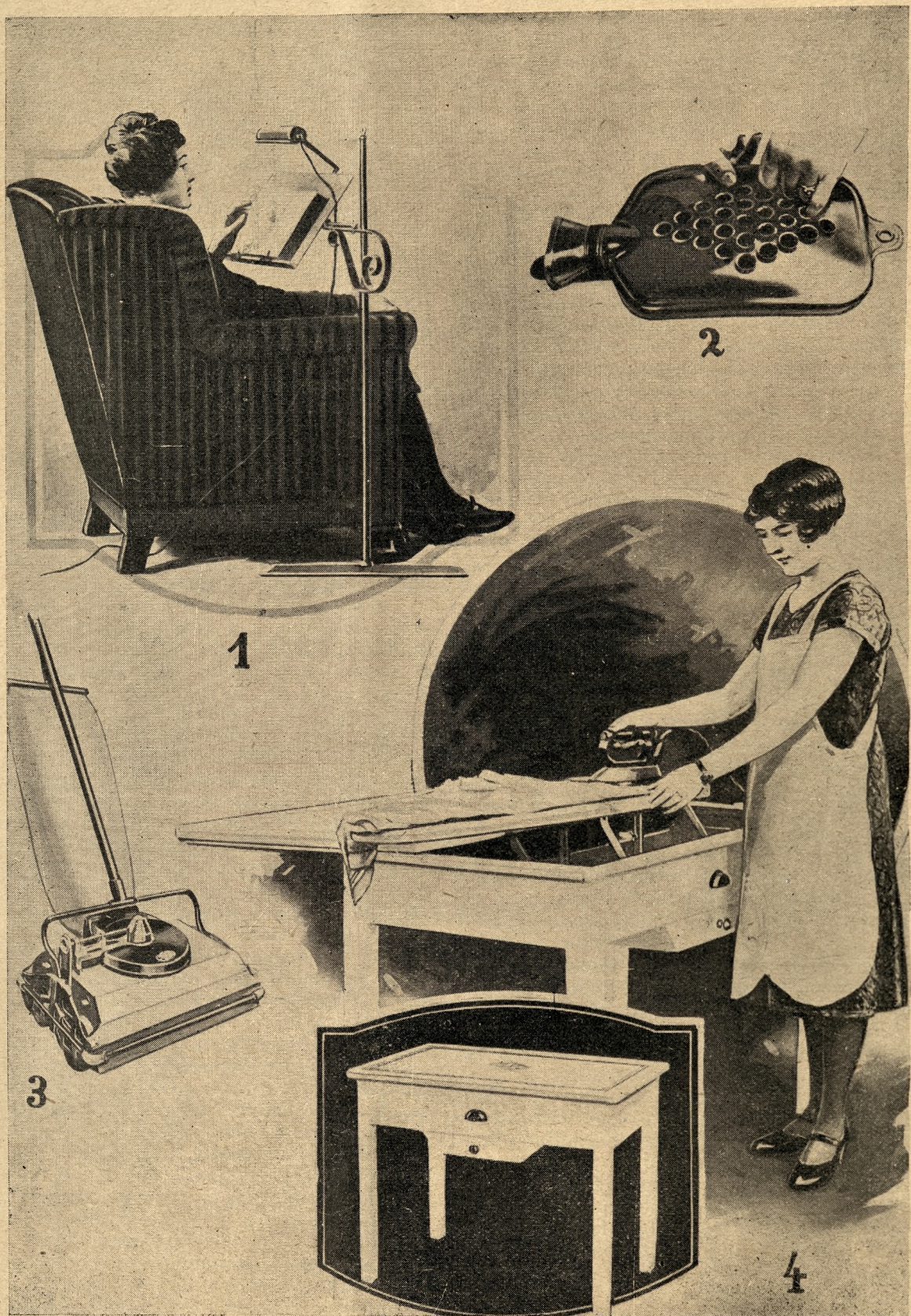
Przy gotowaniu większych ilości grzybów starszych mamy duże ilości smaku, którego najczęściej zużyć narazie nie możemy. Nie należy go nigdy wylewać, tylko, wolno gotując, wysadzić do gęstości prawie lekkiego syropu i wlać do butelki. W zimie może stać kilka tygodni w chłodnej spiżarni i może być z powodzeniem użyty zamiast kupnego buljonu do nadania smaku mdłym sosom, zupom, jarzynom i t. p. Kilka kropli takiej zaprawy starczy do podniesienia smaku potrawy, której czegoś brak, a nie możemy narazie określić — czego.

Poza grzybami krajanami do sosów i potrawek, poza siekaniami na różne kotlety, budynie i zapiekanki, zupełnie mało jest znane stosowanie całych grzybów suszonych. Tymczasem właśnie takie grzyby całe są najsmaczniejsze. Czy to duszone, czy smażone, smakują nawet tym, co zwykłych potraw grzybowych nie jadają. W dziale przepisów podaję dzisiaj właśnie parę takich dań z grzybów całych, dań, które nietylko w poście i nietylko w kuchni jarskiej mogą znaleźć zastosowanie, lecz i w bardzo eleganckim śniadaniu figurować mogą.

Oprócz różnych zapiekanek w rodzaju kluseczek, łazanek i makaronu z grzybami, pozwolę sobie przypomnieć paniom gospodyniom o jajeczniczy i omlecie z grzybami, a głównie o czarnej kaszy tatarskiej z grzybami, która stanowi przysmak, mogący zadowolnić najbardziej wybrednego smakosza. Są dwa sposoby jej podawania: jeden polega na zmieszaniu kaszy już podprażonej z dużą ilością młodych, pokrajanych grzybów i śmietaną, upieczeniu razem i podaniu w tym samym garnku, w którym się to piekło, tylko ładnie owiniętym w serwetkę. Drugi, bardziej elegancki, tak zwana kasza „à la Skobeleff“: podaje się ją w srebrnym lub platerowanym płaskim rondelku, przyczem naczynie jest w mniejszej części napełnione sypką kaszą, a w większej — uduszonymi w śmietanie grzybkami. Tak samo można podać jajecznicę, usmażoną w połowie rondelka i przykrytą warstwą duszonych w śmietanie grzybków. Oba te dania należą do bardzo eleganckich i wykwintnych w smaku i mogą stanowić część śniadania. We wszystkich tych daniach należy stosować grzybki suszone najmłodsze i wymoczone przez dwadzieścia cztery godziny w mleku, lub w zimnej wodzie, jak o tem mówiłam na początku.

W tym roku szczególnie ogromna obfitość, a co zatem idzie, względna taniość grzybów powinna zachęcić gospodynie do najczęstszego ich używania. Nie sposób tu podać wszystkich znanych sposobów ich przyrządzania. Pomysłowa gospodyni sama obmyśli najlepsze dla nich zastosowanie, a jeżeli przez to rzadziej da potrawy mięsne, zrobi podwójną oszczędność: na kieszeni i na zdrowiu. *Pani Elżbieta.*

OSTATNIE WYNAŁAZKI



Zaciekawiona czytelniczka spoczywa wygodnie w ogromnym fotelu, mając książkę do czytania na pulpicie. Pulpit można podnosić stosownie do wzrostu czytającej osoby. Oświetlony jest płaską lampą, umieszczoną w ten sposób, że światło pada wprost na książkę, nie oślepiając oczu (rys. 1).

Worek gumowy do gorącej wody zaopatrzonej jest w rodzaj ssawek. Przylegają one ściśle do ciała chorego, wobec czego pacjent może się swobodnie poruszać, nie obawiając się ssnięcia gorącego okładu (rys. 2).

Szczotka do czyszczenia dywanów ma przyrząd do wchła-

niania kurzu. Kurz zbiera się w worku płóciennym. Szczotka składa się z dwóch okrągłych szczotek ruchomych. Przy tym systemie unikamy wznoszenia kurzu, szczotki zaś pozostają czyste (rys. 3).

Bardzo ładny i praktyczny jest stolik kuchenny do prasowania. Ma blat ruchomy, po którego odsunięciu wyjmujemy deskę do prasowania, schowaną wewnątrz i rozstawianą na składanych nóżkach. Po skończonym prasowaniu, nóżki składamy, deskę chowamy do wnętrza i zasuujemy blat. Blat stołu może służyć do składania bielizny (rys. 4).



BEFSZTYKI Z GRZYBÓW.

Największe grzyby suszone (borowiki, grzyby prawdziwe), byle tylko zdrowe, bez robaków, ugotować bardzo miękko w osolonej wodzie. Wodę odciedzić i użyć na smak do zupy, lub na sos. Grzyby doskonale osączyć na sicie, można je nawet potrzymać minut parę na złożonej w kilkoro ściereczce lnianej, aby usunąć z nich zbytek wody. Utarzać grzyby w mące, następnie w rozbitym jajku, na koniec w tartej bułeczce. Smażyć natychmiast w bardzo obficie rozpuszczonym szmalcu lub na maśle, dodając do masła trochę oliwy, aby się nie paliło. Ładnie z obu stron zrumienione grzyby podawać do przekąski, na gorąco, kładąc na obu końcach półmiska po kucpe struganego chrzanu, czy podając do nich w sosjerce chrzan z octem. Lub też okładać takimi grzybami purée kartoflane, szpinak, makaron, kaszkę drobną, ugotowaną na sypko na grzybowym smaku itp. Można też smażyć takie grzyby bez jajka i bułeczki, tylko utarzone dobrze w mące.

ZRAZY NELSONSKIE Z GRZYBÓW.

Największe suszone grzyby prawdziwe, borowiki (nie potrzebują być bardzo białe, można na to użyć i tak zwanych „żółciaków”) ugotować na miękko w osolonym wrzątku. Ile mamy takich dużych grzybów, tyle wziąć średnich, mączystych kartofli, obrać i pokrajać w cienkie talarki. Na pół kilo obranych kartofli wziąć dwie spore cebule i także cienko pokrajać. Rondel platerowany lub nelsonkę wysmarować grubo masłem i układać w nich rzędami kartofle, grzyby i cebulę, każdy rząd lekko soląc i pieprząc i kładąc pomiędzy rzędami małe kawałeczki masła. Ostatni rząd powinien być z kartofli. Szklanek śmietany kwaśnej zmieszać ze szklanką smaku, w którym się gotowały grzyby, zalać tem potrawę. Po wierzchu posypać obficie tartą bułeczką, do której można dodać część ostrego, tartego sera. Położyć na wierzchu kilka małych kawałków masła. Postawić na zakrytej blasze i dusić wolno około czterdziestu minut, potrząsając często rondlem, aby do dna nie przywarło. Podawać w tem samym naczyniu.

KIELBASY DOMOWE DO SMAŻENIA.

Bardzo łatwe do zrobienia nawet w mieście, o ile przy maszynce do siekania mięsa mamy lejek, służący do napychania kielbas. Kielbasy domowe są zawsze znacznie smaczniejsze od gotowych, kupowanych w masarniach, gdyż kupne rzadko są robione z pierwszego gatunku mięsa i pozatem zawsze przyprawione saletrą, co w smażonych kielbasach jest zbyteczne. Na trzy kilo mięsa kupić około trzech metrów dobrze oczyszczonych kiszek wieprzowych i jeszcze je na noc namoczyć w dobrze osolonej wodzie, poczem parę godzin trzymać w czystej, aby zbytnią sól usunąć.

Na trzy kilo wieprzowiny (po półowie chudej i przeraśniętej) wziąć siedem deka soli, łyżkę utartego majeranku, trzydzieści deka cebuli. Mięso dokładnie wyżyłować ze skórek, kostek i żył; ugotować szklanek rosółu. Mięso pokrajać jaknajdrobniej ostrym nożem (z przepuszczonego przez maszynkę kielbasy nie będą soczyste, ani kruche). Osolić na misce, trochę popieprzyć, zmieszać z majerankiem i utartą na tarce cebulą, dodać ostudzony rosół z kostek lub zimną wodę (z wodą są trwalsze). Ilości płynu trudno dokładnie określić — powinno być tyle, aby go mięso wchłonęło. Z suchego mięsa kielbasy nie będą soczyste. Wymieszać masę doskonale.

Przez rurkę przy maszynce do mięsa napełniać kiszki niezbyt mocno, aby przy gotowaniu lub smażeniu nie pękały. Jeżeli gdzie pod skórą okaże się powietrze, wypuścić je, przekuwając cienką igłą.

Po zrobieniu kielbas stawiamy je z miską w chłodnej spi-

żarni; jeśli mają być dłużej przechowane, wieszamy je na drążku, aby powietrze miało do nich dostęp. Kielbasy, wpiersz zblanżerowane we wrzątku, smażymy ze słoniną lub dusimy w piwie po połowie z wodą. W każdym razie można do nich podać sos rumiany, cebulowy lub musztardowy i salate z surowej, kiszzonej kapusty.

ROLADA Z KACZKI (GALANTYNA).

Mięsistą kaczkę rozkrajając wzdłuż grzbietu, po uprzedniem odcięciu głowy z szyją, łap i skrzydełek do pierwszego stawu. Ostrożnie, pomagając sobie ostrym nożem, wyjąć wszystkie kości wraz z wnętrznościami, pozostawiając przy skóreczce możliwie dużo mięsa. Wyjąć wątróbkę, dodać dwadzieścia deka wątróbki cielęcej, tyleż przeraśniętej wieprzowiny i mięso z kaczki, oskrobane z kości; przepuścić to przez maszynkę dwa razy, poraz drugi dodając trzy bułeczki (warszawianki), wymoczone w wodzie i dobrze odcisnięte. Oddzielnie przygotować dwadzieścia deka szynki i tyleż wędzonej lub świeżej słoniny, pokrajanej w paski, trzy jaja, ugotowane na twardo, kilka pieczarek, uduszonych w maśle, kilka zielonych korniszonów. Zamiast szynki może być wędzony ozór.

Farsz dobrze wymieszać, osolić, popieprzyć, dodać tartej galki muszkatolowej, wbić dwa jaja. Kaczkę rozłożyć na stolnicy, skórą na spód. Układać rzędami farsz, szynkę, słoninę, jaja pokrajane na ćwiartki, korniszony i pieczarki. Gdy się wszystko ułoży, zaszyć starannie grubymi niemi grzbiet i otwory z łapek i skrzydeł. Owinąć kaczkę w kawał dobrze wyparzonego płótna (aby nie miało odoru mydła), osznurować szpagatem. Gotować w smaku, przyrządzonym z kości, dróbek i wloszczyzny. Po dwóch godzinach gotowania wyjąć. Nawpół ostygłą rozwinąć z płótna, znów zawinąć, przycisnąć deseczką i małym ciężarem, aby nieco spłaszczyć. Smak wygotować do dwóch szklanek, sklarować białkiem, dodać pięć listków żelatyny, parę kropel karmelu, zastudzić oddzielnie w miseczce. Podając, krajać w plastry, ubrać posiekaną galareta. Oddzielnie podać sos tatarski lub musztardowy.

STAROŚWIECKI CHRÓCIK (FAWORKI).

Dwadzieścia deka mąki, cztery deka masła, dwa żółtka i dwa jaja całe, cztery deka cukru i tyle śmietany, żeby się dało zagnieść dosyć twarde ciasto, wyrobić doskonale, aby najdokładniej od rąk i stolnicy odstawało. Rozwałkować jaknajcieniej, wykrawać z tego szklanką równe kółka. Brać po trzy takie krążki, ścisnąć mocno pośrodku, aby się dokładnie zlepily. Brzegi naciąć nożem głęboko, aż do zlepionego środka. Smażyć na rozpalonym szmalcu. Nacięte miejsca pozwijają się w różne strony i uformują jakby różę. Ładnie zrumienione, wyjmować na bibułę i gorące jeszcze posypywać obficie cukrem, utłuczonym z wanilią. Podawać z konfiturami.

Pani Elżbieta.

Najmilszą ozdobą nowoczesnego mieszkania są małe doniczki kaktusów.

Jak się z nimi obchodzić i jak je rozmnażać, uczy książka p. t.

Hodowla kaktusów

Cena 1 zł. 50 gr. z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz” Warszawa, Plac Zamkowy 9.

PIECZEŃ CIELEŃCA MARYNOWANA (na sposób satniej).

Piękną ćwiartkę cielęciny naszpikować obficie świeżą słoniną. Utluc miarło łyżkę jałowcu i natrzeć nim bardzo mocno cielęcinę. Ułożyć ćwiartkę w głębokiej polewanej misce i zalać przegotowanym, gorącym (niezbyt mocnym) octem. Trzymać w occie 4 — 5 dni, przewracając dwa razy dziennie.

Gdy pieczeń już dostatecznie zamarynowana, wyjąć ją z sosu, osączyć i piec, podkładając obficie masła. Na wydaniu podlać młodą śmietaną. Do tak przyrządzonej pieczeni cielęcej podaje się krostki z kartofli.

Cielęcina marynowana jest wyśmienitą i godną polecenia potrawą, szczególnie w wsi, gdzie trudno o pierwszorzędną mięso wołowe, a cielęcina, jako najczęściej pojawiająca się w jadłospisach, podawana pod zwykłą i niezbyt urozmaiconą postacią, tak łatwo się przejada.

KOTLECICKI BARANIE Z RYZEM.

Wymyć ryż kilka razy w zimnej wodzie, odsączyć. Zagotować raz jeden, odlać wrzątek, przelać ryż zimną wodą i wrzucić do rondelka na masło, w którym uduszono przedtem jedną drobno pokrajaną cebulę. Na pół kilograma ryżu wziąć 10 dkg. masła. Zalać ryż rosółem, dając go tyle, aby tylko nakrył ryż, przykryć rondel i wstawić do ciepłego pieca. Ryżu nie trzeba mięszać; w razie potrzeby dodać jeszcze kilka łyżek rosółu. Po ugotowaniu powinien być zupełnie sypki.

Przygotować kotleciki baranie z combra (z kostką), usmażyć prędko, aby nie wyschły. Ryż na wydaniu wymięszać z kilkoma łyżkami wyborowej marmelady pomidorowej, posolić do smaku, skropić mocnym buljonem i uformować z niego na okrągłym półmisku piramidę. Obłożyć dookoła kotlecikami baraniami. Podawać bardzo gorące.

POTRAWA Z PULARDY FASZEROWANEJ.

Dobrze skruszając pularde wymyć w kilku wodach i moczyć w zimnej wodzie 3 — 4 godzin. Osączyć, wytrzeć czystą ściereczką i wyjąć delikatnie mięso i kości, tak, aby nie narużyć skóry. Obrac mięso z kości, wyżyłować, przepuścić kilkakrotnie przez maszynkę, wyrobić rękami farsz z siekanego mięsa, dodając 3 całe jaja, 2 bułki, namoczone w mleku i doskonale odciśnięte, 50 dkg. masła deserowego, rozartego na śmietaną, soli do smaku, trochę białego pieprzu. Napełnić farszem skórę, zaszyc gęsto białą bawełną (twarda nitka może łatwo poprzecinać delikatną skórę) i gotować na wolnym ogniu w smaku, przygotowanym na kościach z kury i na włoszczyźnie. Gotować 2 godziny. Po wyjęciu ze smaku pokrajać na zręczne plastry, ułożyć na okrągłym porcelanowym półmisku i zalać gęstym białym sosem, zaciągniętym żółtkami. Sos zrobić na podstawie smaku, w którym gotowała się kura, i słodkiej śmietanki. Dodać trochę kaparów. Do takiej potrawy podaje się ryż, ugotowany na sypko, albo kluseczki krajane.



PREMJE KSIĄŻKOWE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

W związku z komunikatem, podanym w numerze „Bluszczu“ z dn. 1 stycznia r. b., zawiadamiamy nasze prenumeratorki, że ZAMIAST DODATKU POWIEŚCIOWEGO ORAZ TYTUŁEM PREMJI ZAKUPILIŚMY DLA NICH SZEREG WARTOŚCIOWYCH I CIEKAWYCH KSIĄŻEK Z ZAKRESU BELETRYSTYKI, które będą przesyłane TYLKO PRENUMERATORKOM po uiszczeniu przez nie osobiście, przekazem pocztowym, lub na konto P.K.O. Nr. 3.700 dodatkowo, do ustalonej poprzednio prenumeraty, jeszcze kwoty 2 zł. miesięcznie.

Na najbliższe półrocze prenumeratorki nasze otrzymają następujące książki, estetycznie na wykwintnym papierze wydane.

W MIESIĄCU	Stron	Cena książki w handlu księgarskim		Specjalne ceny premjowe dla prenumeratorek „Bluszczu“.	
		zł.	gr.	zł.	gr.
Styczniu	<i>J. LOWELL: KOLEBKA NA GŁĘBINIE</i>	272	7	—	2 —
Lutym	<i>O. HENRY: REWOLUCJA I MIŁOŚĆ</i>	306	6	50	2 —
Marcu	<i>R. MACAULAY: DWA OBLCZA</i>	309	8	—	2 —
Kwietniu	<i>H. G. WELLS: OJCIEC KRYSZTYNY ALBERTY</i>	424	11	—	2 —
Maju	<i>B. TARKINGTON: KOBIETY</i>	335	8	—	2 —
Czerwcu	<i>W. MAUGHAM SOMERSET: SAMOTNE DUSZE</i>	275	8	—	2 —

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.
 Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“, Warszawa, Rymarska 8.